

Pomorski
Magazyn
Artystyczny

2/2022 (2)
Kwartalnik

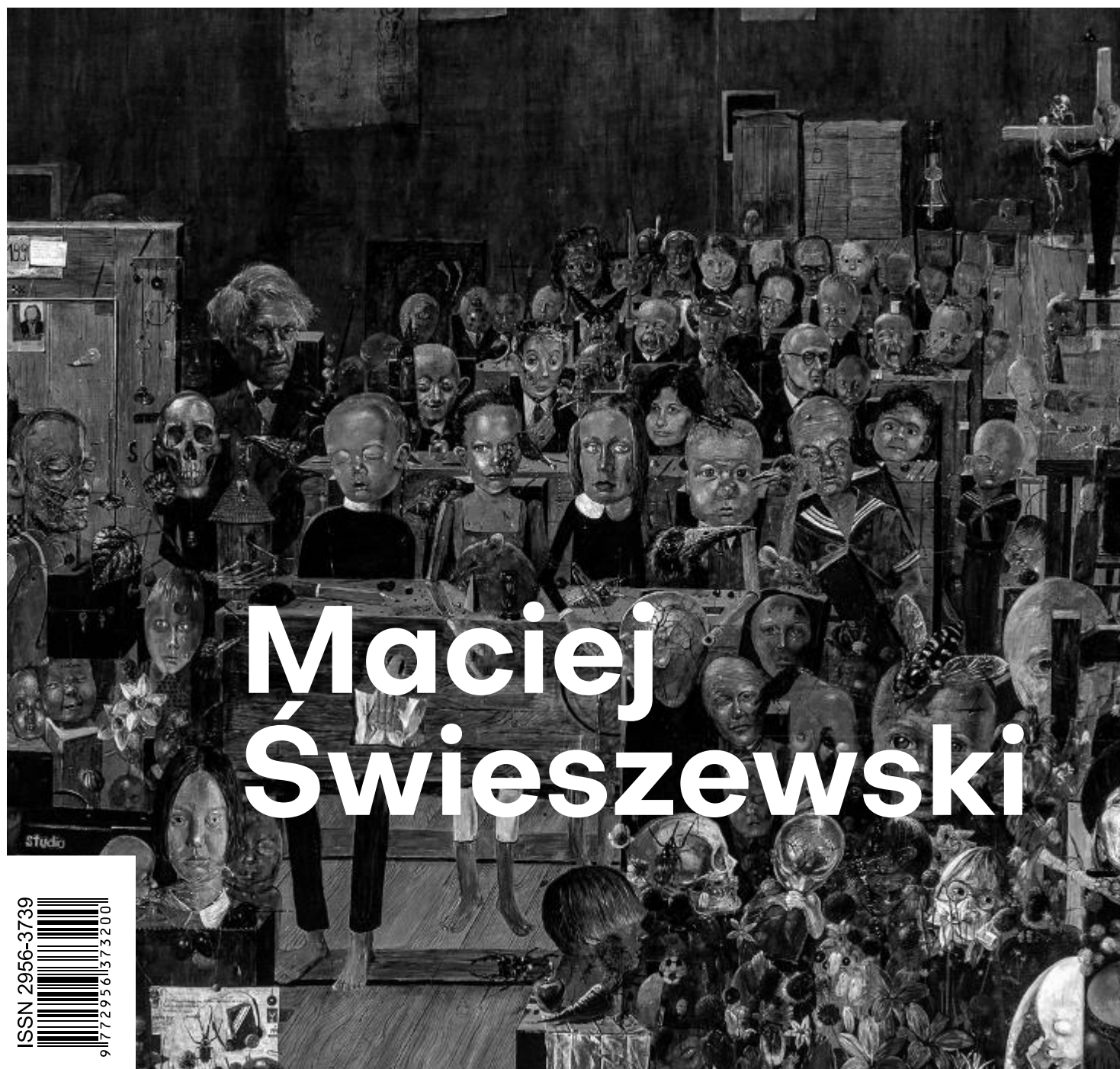
Greś
Grzybowski
Huelle
Jacobson
Kurek

Limon
Schiller
Stelmasiewicz
Warszewski
Żakiewicz

2/22

Sto

literatura | sztuka | krytyka | życie społeczne

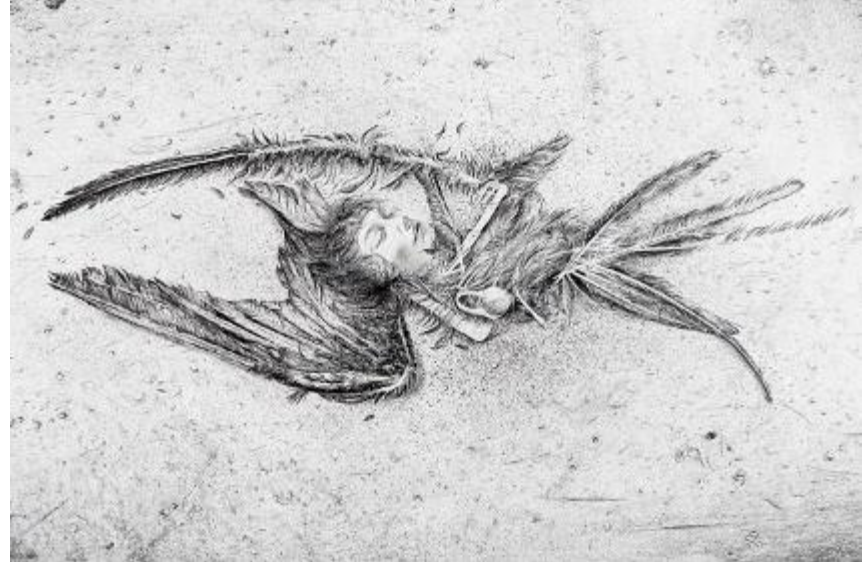


Maciej
Świeszewski

ISSN 2956-3739
9 772956 1373200

Spis treści

- 3 By każdy mógł wyruszyć we własną artystyczną podróż**
Karolina Greś
- 6 Monika Milewska**
wiersze
- 8 Księżę i żebrak**
Justyna Limon
- 12 Tratwa szaleńców**
Paweł Huelle
- 16 Maciej Świeszewski**
rysunki
- 18 Emocje i intelekt**
Wojciech Fułek
- 20 „In Danzig”**
Joanna Schiller-Rydzewska
- 23 Całe życie w klatce**
– z Julią Marczak rozmawia Wojciech Boros
- 24 Julia Marczak**
wiersze
- 26 Po godzinach**
Wojśław Brydak
- 27 Tu mogę marzyć**
Z Andrzejem Stelmasiewiczem rozmawia Waldemar Chyliński



Maciej Świeszewski s. 12-19

- 32 Od błękitu po biel**
Zofia Watrak
- 36 Akademia niespełnionych marzeń**
Adam Grzybowski
- 40 „Maj nad Wilią”**
Maciej Żakiewicz
- 44 Westchnienie nad Soliną**
Marcin Jacobson
- 45 Zapiski człowieka dociekliwego**
Roman Warszawski
- 48 Jedyny bat to obojętność czytelników**
Jarosław Kurek na Gdańskich Targach Książki
- 51 Wiesława Romanowska (1946-2022)**

Na okładce strona 1 **Maciej Świeszewski** *Umarła klasa*, olej na płótnie, 40x60 cm, 2022
Na okładce strona 4 **Maciej Świeszewski** *Kompozycja*, tusz na papierze, 40x30 cm, 2022

Redaguje zespół Jacek Borzych, Wojśław Brydak, Wojciech Fułek (redaktor naczelny), Katarzyna Korczak (sekretarz redakcji), Jarosław Kurek, Dorota Sobieniecka

Współpracują Wojciech Boros, Olga Kubińska, Tomasz Miłkowski, Leszek J. Pękalski, Joanna Schiller-Rydzewska, Zofia Watrak, Michał Zabłocki, Małgorzata Żerwe

Projekt graficzny Paweł Pacholec

Wydawca Jacek Borzych – Stowarzyszenie na rzecz Edukacji Filmowej, Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk

E-mail stowedufilm@gmail.com • tel. +48 58 308 43 40

Drukarnia: Bernardinum Sp. z o.o., ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE

Partnerzy



Mecenas

Zrealizowano ze środków Województwa Pomorskiego

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Josepha Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku

Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie

Fundacja Artystyczna Podróż Hestii

ERGO Hestia Sopot

By każdy mógł wyruszyć we własną artystyczną podróż

Karolina Greś

Wystawę *Bujność. Atlas Nieskończonych Możliwości*, prezentowaną w sopockiej Państwowej Galerii Sztuki, przygotowała Fundacja Artystyczna Podróż Hestii i jej mecenas, ERGO Hestia. Projekt od początku wywoływał silne emocje i wymagano od niego bardzo wiele. Stanowi bowiem ukoronowanie dwudziestoletniej historii konkursu Artystyczna Podróż Hestii.

Kuratorka wystawy, Magdalena Kąkolewska, nie dała się ponieść pokusie stworzenia ujęcia historycznego, a zaproponowała formę komentarza, obejmującego zarówno przeszłe wydarzenia, jak i prognozy na przyszłość. By móc w pełni odczytać i zrozumieć ostateczny wygląd wystawy, należy choć na chwilę powrócić do idei przyświecających konkursowi.

Stanowił on jedno z najważniejszych wydarzeń artystycznych adresowanych do młodych twórczyń i twórców w Polsce. Już po kilku latach przybrał charakter ogólnopolski. Działał na zasadzie otwartego naboru, co pozwalało artystom na pełnię swobody w nadsyłaniu zgłoszeń. Nagrody umożliwiały między innymi odbycie rezydencji zagranicznych czy też realizację pierwszych komercyjnych zleceń w postaci Raportu Roczego ERGO Hestii (przedstawia on dokonania spółek ubezpieczeniowych Grupy ERGO Hestia oraz wyniki finansowe za ostatni rok ich działalności w formie zaproponowanej przez artystkę/artystę). W znacznym stopniu przyczynił się do upowszechnienia wiedzy o sztuce najnowszej w Polsce. Konkurs przez dwie dekady prezentował setki prac, wykonanych w różnorodnych mediach, podejmujących niezliczone tematy.

Właśnie to bogactwo idei i artystycznych rozwiązań stało się fundamentem najnowszej wystawy. Jak wyjaśniała termin „bujność” Magdalena Kąkolewska:

Mieści ono w sobie nie tylko młodość obecną w naszym przedsięwzięciu, ale też gwałtowny wzrost zainteresowania młodą sztuką w ciągu ostatnich dwudziestu lat. A także – a może przede wszystkim – potencjał, nieskończone poszukiwania, rozkwit i rozwój najmłodszej generacji artystek i artystów. (...) Pokazujemy wielorakość. Nie po to, by streszczać konkurs, katalogować go lub wyczerpywać w postaci list i zestawień, ale po to, aby jeszcze raz być blisko odważnych, niepokornych, poszukujących i łamiących schematy. Tych, dla których tematy tożsamości, problemów społecznych (powinno być problemy społecz-



Marcin Grzęda, *Pandora*, 40 x 40 x 55 cm, ceramika szkliona, wypat redukcyjny, lina stalowa, 2020 | dzięki uprzejmości artysty

ne), badania związków sztuki z życiem, tajemnic kondycji ludzkiej, popędów libidalnych, kruchości życia, czy postapokaliptycznej wizji świata były przedmiotem namysłu twórczego.

W Państwowej Galerii Sztuki zaprezentowano trzydzieści sześć prac trzydziściorga dwojga twórczyń i twórców. Są

Ewa Juszkiewicz, *Pływaczki*, dyptyk (fragment) – 560x180cm, olej na płótnie, 2009 | Kolekcja Fundacji APH

o stanie kryzysu, w którym znajduje się Ziemia. Artysta ma ciekawy sposób tworzenia – często posiłkuje się obiektami znalezionymi, które w twórczy sposób przetwarza. W tym przypadku pokazał pracę, której tytuł odnosi się do historii Pandory – poprzez otwarcie puszek sprowadziła ona na ludzkość nieszczęścia oraz ostatnią pracę z cyklu „ISSIZ”, podejmującą kwestię negatywnego wpływu człowieka na środowisko. Nazwa ma hybrydalną formę, łączącą zarówno dobre, jak i złe skojarzenia, co ma odzwierciedlać ambiwalentny stosunek ludzi do świata. Nieoczywista forma obiektu pozwala na różnorodne interpretacje, możemy dopatrzeć się w nim puszek z odpadami czy też niewybuchu.

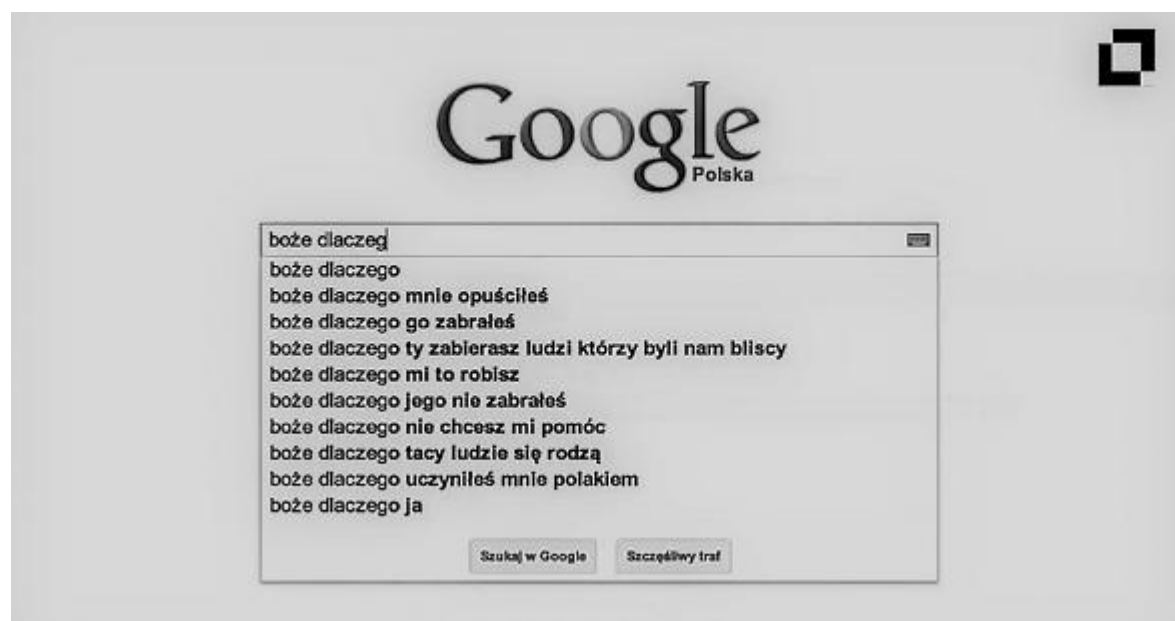
Zupełnie inny temat poruszają dzieła Marcina Janusza: *Kałuże Marzeń* i *Kąpiel w kałużach marzeń*. Skłaniają one widzów do odczytania ich jako beztroskich i dekoracyjnych. Dzieje się tak dzięki zastosowanej paletce barwnej, bazującej na świetlistych błękitach i zieleniach, jak również tworzywu – barwionemu szkłu. Łatwo odnieść wrażenie, że opowiadają one o bujaniu w obłokach. Tymczasem, jest to przesłanie pesymistyczne. Artysta, tworząc te obiekty, chciał zaznaczyć, że niespełnione marzenia przeistaczają się w nic innego, jak kałuże – płytkie zbiorniki, które szybko znikną.

Na wystawie nie mogło również zabraknąć monumentalnego dyptyku Ewy Juszkiewicz *Pływaczki* – jest to wczesna praca artystki, ale zawierająca już jej znak rozpoznawczy – przekształcone aż do granic czytelności kobiece twarze. Równie ciekawa, pomimo upływającego czasu, jest praca Małgorzaty Goliszewskiej *Wszystko* – twórczyni wpisywała różne frazy w wyszukiwarkę Google i rejestrowała najczęściej wyszukiwane odpowiedzi. Z tej pracy wyłania się słodko-gorzki obraz aspiracji i lęków człowieka na początku XXI wieku.

Zwiedzając ekspozycję można w pewnym momencie odnieść wrażenie wręcz kakofonii bodźców. To skonstrastowanie kształtów, dźwięków i barw stanowi efekt zamierzony – jest wizualną definicją bujności. Każdy rok konkursu był nieprzerwanym strumieniem nowych pomysłów i autorskich odkryć. Inny sposób ekspozycji tych prac zafałszowałby wspólny mianownik działań podejmowanych od lat – obraz nieograniczonych możliwości i różnorodności sztuki.

Wystawę *Bujność. Atlas Nieskończonych Możliwości* oglądać można do 8.01.2022 r. w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie.

Karolina Greś

Małgorzata Goliszewska, *Wszystko*; na podstawie tomiku poezji dokumentalnej *Wszystko. Sugestie Googla dla mojego IP*, technika: wideo, publikacja artystyczna, 2014 | Kolekcja Fundacji APH

to zarówno obiekty malarskie, rzeźbiarskie, fotograficzne, jak i prace wideo oraz instalacje. Wystawę zaprojektowano w ten sposób, by każdy mógł wyruszyć we własną artystyczną podróż, kierując się zainteresowaniami czy gustem. Zachętę do takiego działania można odnaleźć w drugim członie tytułu: *Atlas Nieskończonych Możliwości*. Jest to odniesienie do idei atlasu, opisanego przez Georgesa Didi-Hubermana, który dopatrywał się w nim praktycznego

przedmiotu, niezwykle szybko skłaniającego odbiorcę do podjęcia nowych, nieoczywistych poszukiwań. Nie sposób w tym artykule wspomnieć o wszystkich prezentowanych pracach, ale warto pamiętać, że za każdą stoją autorskie poszukiwania i refleksje, czekające na dociekliwego widza. Moją uwagę w sposób szczególny przyciągnął Marcin Grzęda, który zaprezentował dwa, surowe formalnie, obiekty, wręcz hipnotyzujące wzrok, opowiadające

Marcin Janusz, *Kałuże Marzeń*, cz. I, 115x100cm, olej na płycie MDF, żywica, szklany piasek 2021 | kolekcja prywatna

Monika Milewska

wiersze z tomu *Papierowe okręty*

STABAT MADONNA

Stabat Madonna
z synkiem w ramionach
prosto z krzyża zdjętym
li li li li laj
i rozczuliło się jej serce
bo był bardziej bezbronny
niż owej nocy w Betlejem
li li li li laj
synku malutki
przebodli twoje rączki
przebodli twoje nóżki
li li li li laj
mój rąbek nie starczy za całun
łzy moje cię nie nakarmią
li li li li laj
złożę cię w kamiennym żłobie
sianka podścielę pod twą martwą głowę
abyś dobrze spał
li li li li laj
i tak stała
skamieniała
Madonna pieta

Z RZYMSKIEJ GALERII

Na obrazie w Galerii Lincei
Jezusek bawi się
Maryja czyta
w nabożnym skupieniu
czym bawi się Jezusek?
jakaż to grzechotka
wystaje z jego
boskiej pulchnej rączki?
to chyba patyczek
nie to dwa patyczki
zbite na krzyż
co czyta Maryja?
Gorzkie Żale
i Godzinki o Męce Pańskiej
wszystko już wiadomo
wszystko już dokonało się
ale Jezusek wsadza patyczek do buzi
a Maryja uśmiecha się
gładząc go po jedwabistych lokach
tak jakby nie czuła pod palcami
ciernistej korony

JONASZ

O zmierzchu
rybacy patroszyli wieloryba
wielkiego jak cała ich wyspa
w jego wnętrzu
pod żebrowym sklepieniem katedry
znaleźli kaplicę wątroby
siedział w niej Jonasz
przy lampce z rybiego tłuszczu
pisał odezwy o nawrócenie świata
na widok rybaków
zerwał się z miejsca
owinął brodę
sześć razy wokół szyi
i zaczął czytać
w proroczym natchnieniu
przerwali mu rybacy:
„To już nieaktualne
nie ma już kogo nawracać
niedawno był koniec świata
oddzielono ziarna od plew
nam pozwolili łowić wieloryby
bo tylko to kochamy
ale o panu ktoś chyba zapomniał”
„A to pech”
rzekł Jonasz
i skoczył do wody
zdążył jeszcze na pokład
błękitnego płetwala
który odpływał powoli
w nieprzeniknioną noc

PCHŁY

U rozstajnych dróg
siedział stary diabeł
w trójkątnym kapeluszu
przechodziły ludziska
i kłaniały mu się
bo myślały że to jakiś nowy świętek
a on uchylał kapelusza
bo w kapeluszu
miał grzechów dużo
a te grzechy
jak pchły
na ludzi skakały

na Janka skoczyło tyle
że całą noc musiał potem
z Hanką iskać je w stodole

kowala tak od nich ręka świerzbiła
że żonę zbił
a i to nie pomogło

a sąsiadki
ugryzły w języki
swędzą je teraz
i wszystko co we wsi
na ich językach się roznosi

i tylko Waldka ugryzły w duszę
poszedł do lasu
i obwiesił się

zwołano u sołtysa radę
„W naszej wiosce załęgły się grzechy”
„Niech ksiądz pleban
przyjedzie z sąsiedztwa
wskaże nam je
to je wyłapiemy”
„Nie potrzeba nam plebana
nasze grzechy
pokonamy sami”
a trzeba nam wiedzieć
że w domu sołtysa
też już się grzech zagnieżdżył
i zamiast się po głowach drapać
wszyscy się za łby wzięli
i tyle było rady

a grzechy się dalej mnożyły
i nie wiadomo co by było
gdyby nie to
że w Chinach wybuchła wojna
diabeł zanim odszedł
sam wszystkie grzechy wyłapał
bo były mu potrzebne
na drugim końcu świata

KRYTERIUM

rozedrgana materia świata
wszystko tak drży od surm złocistych
zaczyna się Koniec Świata
sąd ostateczny najbardziej
Bóg Ojciec na tronie
archanioł z wagą i mieczem ognistym
trony i panowania
i czterech apokalipsy
wszystko jak trzeba
tylko szatan weselszy niż u Memlinga
zdążył się zakraść szelma do nieba
Ostatnim Świtem
i wykradł z arki tablice przykazań
Bóg Ojciec szarpie siwą brodę
jak teraz będę sądzić ludzi?
zło złało się z dobrem
i tańczą pirueta
a Syn Boży podniósł się aż do bramy raju

pójdźcie wszyscy którzyście
choć raz kochali

Książę i żebrak

O związkach księcia Karola z Gdańskim Teatrem Szekspirowskim

Justyna Limon

Historia ta ma swój początek w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy młody student anglistyki i historii sztuki Jerzy Limon pojechał z pierwszą wizytą do Anglii i tam, wertując książki, stwierdził: „spotkało mnie zaskoczenie: otóż w większości książek historia kultury i sztuki, także teatru, kończyła się geograficznie na Odrze – dalej na wschód była pustka, jakieś stepy niepamięci”.

Ta smutna konstatacja legła u podstaw gdańskiego marzenia Jerzego Limona, wówczas młodego studenta Uniwersytetu Adama Mickiewicza. Postanowił przywrócić Gdańsk na mapę historii teatru europejskiego. W 1979 roku obronił w Poznaniu rozprawę doktorską, którą dziesięć lat później opublikował pod tytułem *Gdański teatr „elżbietański”*. Od tego momentu zaczyna się jego wielkie marzenie, aby zrekonstruować ów siedemnastowieczny teatr i stworzyć w Gdańsku centrum kultury o zasięgu międzynarodowym. Książka *Gdański teatr „elżbietański”*, niedawno wznowiona po ponad czterdziestu latach, stanowiła podwaliny naukowe projektu odbudowy teatru z epoki Szekspira. Projektu, który miał przywrócić tradycję i podkreślić związki kulturowe Gdańska i Polski z Europą Zachodnią.

Przełom lat 1989 i 1990 był okresem wielkich zmian, entuzjizmu i nadziei. Rodziło się nowe, demokratyczne państwo. Jerzy Limon wraz z grupą przyjaciół powołał do życia Fundację Theatrum Gedanense. Wierzył, że w demokratycznej Polsce Fundacja szybko osiągnie swój cel:

Teatr Gdański – wzorowany na londyńskim teatrze Fortune – powstał w czasie najbardziej dynamicznego rozwoju miasta w XVII wieku, tak więc jego odbudowa będzie z jednej strony nawiązaniem do dawnej świetności Gdańska, a z drugiej podkreśleniem współczesnych związków Polski z Europą².

Już na początku istnienia Fundacji Jerzy Limon wpadł na niezwykle pomysł, aby poprosić księcia Karola – brytyj-

skiego następcę tronu – o patronat nad nowo powołaną instytucją. W 1990 roku napisał do księcia list, w którym przedstawił swoją inicjatywę. Prośbę o wystąpienie pod złym adresem – do pałacu Buckingham, gdzie mieszkała królowa Elżbieta II. List jednak dotarł do księcia Karola i po paru tygodniach zaproszono Jerzego Limona na audyencję. Niestety do spotkania w pierwszym terminie nie doszło, ponieważ dzień wcześniej książę w trakcie gry w polo spadł z konia i złamał rękę. Po paru miesiącach do Polski przyszedł ponownie list z pałacu św. Jakuba. Wiele lat później, 14 września 2009 roku, Jerzy Limon wspominał w przemówieniu z okazji wmurowania kamienia węgielnego pod Gdański Teatr Szekspirowski:

Odpisał mi Jego koniuszy, któremu widać podlegały sprawy teatralne, informując, iż Książę będzie zaszczycony objęciem patronatu nad naszą Fundacją. Do pierwszego spotkania doszło niebawem. Pragnę podkreślić, iż Książę nie pytał, kto nas popiera, ani kto tam będzie³.

I tak rozpoczęła się międzynarodowa promocja projektu odbudowy gdańskiego teatru elżbietańskiego pod patronatem Jego Królewskiej Wysokości Księcia Karola. (Nikt wtedy nie myślał, że patronem Fundacji zostaje przyszły król Karol III). W prasie brytyjskiej ukazały się artykuły o tym niezwykłym przedsięwzięciu i książęcym patronacie, np. *Prince urged to play role in Gdańsk Theatre revival* lub *Poles reclaim Shakespeare heritage*.

W maju 1993 roku na zaproszenie Jerzego Limona i Fundacji Theatrum Gedanense jej patron przyjechał do Gdańska. Była

¹ Jerzy Limon, *Teatr – strażnik naszej wolności pamiętania*, „Gazeta Wyborcza Trójmiasto” z 4 marca 2020, <https://wyborcza.pl/7,75968,25753508,teatr-strażnik-naszej-wolnosc-pamietania.html>.

² Broszura Fundacji Theatrum Gedanense.

³ Jerzy Limon, *Historia w podziękowaniach*, „PAUza Akademicka” 2009 nr 57, s. 2.



Książę Karol i Jerzy Limon, Clarence House 2011 | fot. z archiwum Fundacji Theatrum Gedanense

to pierwsza wizyta księcia Walii w naszym mieście od 500 lat! Wydarzenie to odnotowały wszystkie media europejskie, które ze zdziwieniem pisały, iż Gdańsk to nie tylko centrum robotniczych strajków w stoczni i kolebka „Solidarności”, ale także miasto o tysiącletniej historii, bogatej kulturze i związkach teatralnych z Anglią w XVII wieku. Z takim obrazem Gdańska, jako miasta głównie przemysłowego, spotykaliśmy się ciągle za granicą przy okazji promocji projektu teatru i z uporem go przełamywaliśmy. Podczas wizyty księcia Karola prezydent Gdańska Franciszek Jamroz wręczył gościowi list intencyjny ze wstępną deklaracją przekazania gruntu pod budowę teatru. Uroczystość z okazji wizyty Księcia odbyła się w Dworze Artusa, a uświetnił ją koncert Cappelli Gedanensis. Profesor Jerzy Limon wygłosił wtedy przemówienie, w którym zaznaczył, że ostatnia wizyta księcia Walii w Gdańsku miała miejsce w 1495 roku. Wówczas to książę Walii, zachwycony gdańską muzyką, w podziękowaniu wręczył artystom pół szylinga. Jerzy Limon zauważył, z właściwym sobie poczuciem humoru, że gdyby owe pół szylinga ułożyć na procent, to mielibyśmy już dość pieniędzy, by wybudować teatr. Tak przynajmniej obliczyli bankowcy... Książę Karol zwiedził także działkę przy ulicy Bogustawskiego,

gdzie w przyszłości miała stanąć scena szekspirowska. Jerzy Limon wpadł na pomysł, aby na ziemi wykonać obrys dawnego teatru i symbolicznie wprowadził gościa do środka. W grudniu tego samego roku w siedzibie księcia w Londynie, w pałacu św. Jakuba, odbyła się pierwsza międzynarodowa prezentacja projektu teatru szekspirowskiego oraz uroczystość inaugurująca działalność Brytyjskiego Towarzystwa Przyjaciół Fundacji Theatrum Gedanense. Do inicjatorów powołania Towarzystwa należeli: cenieni dramaturdzy Arnold Wesker i Alan Ayckbourn, aktorzy Judi Dench i Michael Hordern, profesor Richard Proudfoot i dyrektor Królewskiego Teatru Narodowego sir Richard Eyre. Na wydarzenie przybyła delegacja z Gdańska: przedstawiciele władz i biznesu wspierający ideę odbudowy teatru, a także znaczące grono brytyjskich osobistości na czele z samym księciem. W części artystycznej wystąpili znani brytyjcy aktorzy, Emma Thompson i Alan Rickman, którzy odczytali supliki angielskich aktorów z XVII wieku do raijów gdańskich z prośbą o pozwolenie na występy w mieście. Uroczystość zgromadziła kilkaset osób ze świata kultury, biznesu i polityki i była wielkim sukcesem promocyjnym projektu, a przy okazji miasta Gdańska. Brytyjska prasa pisała: „A brave new project is taking Shakespeare to Gdańsk”.

Back to the Bard old days

A brave new project is taking Shakespeare to Gdansk—300 years after the last time. MIRA BAR-HILLEL reports

PRINCE Charles has played matchmaker in the revival of a curious 400-year-old link between Poland and England: English actors playing Shakespeare in Gdansk. An agreement worked out this week under his auspices between Dr Jerzy Limon, an English professor at Gdansk University, and Kenneth Branagh's Renaissance Theatre



Dr Jerzy Limon: a wonderful example of the emerging Poland—a cultural yuppie.

Artykuł z prasy brytyjskiej, 1990

22 marca 1995 roku odbyła się kolejna uroczystość w pałacu św. Jakuba. Z inicjatywy księcia zaproszono dwóch brytyjskich architektów do przedstawienia wizji wnętrza teatru szekspirowskiego. Przyjęcie uświetnił występ słynnego aktora angielskiego sir Iana McKellena.

W listopadzie 1996 roku powstała Rada Sponsorów Fundacji Theatrum Gedanense pod przewodnictwem Jolanty Kwaśniewskiej – Pierwszej Damy Rzeczypospolitej. 15 listopada książę Walii przyjął w swojej prywatnej wiejskiej rezydencji Highgrove członków Rady Sponsorów i członków założycieli Amerykańskich Przyjaciół Fundacji Theatrum Gedanense.

12 września 2000 roku w teatrze Globe w Londynie odbyła się gala poświęcona Fundacji z udziałem znakomitych osobistości. Gośćmi honorowymi byli patron Fundacji książę Karol i przewodnicząca Rady Sponsorów Jolanta Kwaśniewska. Byli także władze Gdańska, prezydent Paweł Adamowicz oraz marszałek województwa pomorskiego Jan Zarębski, ministrowie Jan Kułakowski, Jacek Saryusz-Wolski, Arkadiusz Rybicki i wielu polityków. W wypełnionym po brzegi teatrze widzowie obejrzeli niecodzienne przedstawienie *Hamleta*. Na zakończenie jeden z monologów został bowiem wygłoszony po polsku przez gdańskiego Hamleta – Mirosława Bakę (co na szekspirowską angielszczyznę „przetłumaczył” londyński Hamlet – Mark Rylance). To wydarzenie zostało przyjęte przez widzów gromką owacją – na deskach zrekonstruowanego elżbietańskiego teatru Globe po raz pierwszy wystąpił polski aktor, podkreślając ścisłe związki kulturowe między Polską a Wielką Brytanią, a tym samym przypominając historyczne

wizyty aktorów angielskich w renesansowym Gdańsku. Gali towarzyszyła wystawa projektu zorganizowana przez Fundację Theatrum Gedanense.

Rok później, 31 maja 2001 roku, w Highgrove, wiejskiej rezydencji księcia Karola odbyło się niezwykle wydarzenie artystyczne – koncert muzyki Chopina w wykonaniu wybitnego polskiego pianisty Janusza Olejniczaka. Gośćmi wieczoru byli najwięksi sponsorzy Fundacji oraz przedstawiciele władz Gdańska. Przed kolacją goście mieli okazję zwiedzić słynne ogrody księcia Karola, a następnie poznać go i porozmawiać z parą książęcą.

W 2004r. Fundacja ogłosiła międzynarodowy konkurs na projekt teatru i powołała międzynarodowe jury. Jednym z jurorów był architekt brytyjski delegowany przez księcia Karola.

Jerzy Limon mówił o sobie jako o zawodowym żebraku i dodawał, że z Fundacją „dołączyliśmy do zawodowej grupy instytucji żebraczych. Nie ma w tym nic zdrożnego: kiedyś istniały zakony żebracze, które pozostawiły po sobie wspaniałe katedry; my stawiamy teatr...”⁴. Ową instytucję żebraczą zawsze wspierał jej patron. używając swoich rezydencji do organizowania wieczorów promocyjnych dla największych sponsorów, biorąc w nich udział, osobiście gorąco zachęcając gości do wsparcia idei budowy teatru. Początkowo były to gale gromadzące kilkaset osób, później bardziej kameralne przyjęcia. 26 stycznia 2011 roku w prywatnej rezydencji Księcia w Londynie, w Clarence House,

⁴ Jerzy Limon, *Historia w podziękowaniach*, „PAUza Akademicka” 2009 nr 57, s. 2.



Kolacja z księciem Karolem w jego londyńskiej rezydencji Clarence House 2011. Od lewej: autorka, Charles Krause, prezes amerykańskiego towarzystwa przyjaciół Fundacji, prezydent Paweł Adamowicz z żoną Magdaleną, księżę Karol, Jerzy Limon | fot. z archiwum Fundacji Theatrum Gedanense

odbyła się kolacja z udziałem 25 osób, zorganizowana z okazji dwudziestolecia Fundacji Theatrum Gedanense. Wzięli w niej udział przedstawiciele władz miasta Gdańska oraz najważniejsi sponsorzy. Przed uroczystą kolacją goście zwiedzili teatr Globe. W 2011 roku Fundacja była już znanym organizatorem Festiwalu Szekspirowskich, wraz z samorządami powołała do życia nową instytucję kultury – Gdański Teatr Szekspirowski. Za chwilę miała się rozpocząć budowa jego siedziby.

19 września 2014 roku nastąpiło uroczyste otwarcie Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego – który niemal natychmiast trafił na listy najpiękniejszych budynków teatralnych Polski. Z okazji otwarcia teatru książę Karol, który nie mógł przybyć osobiście, przysłał specjalne nagranie z życzeniami i gratulacjami. Można je obecnie obejrzeć w Bibliotece profesora Jerzego Limona, mieszczącej się w Gdańskim Teatrze Szekspirowskim.

Otwarcie budynku teatru w 2014 roku zakończyło dwudziestoczteroletni etap w historii Fundacji Theatrum Gedanense, która jako mała organizacja pozarządowa zrealizowała wielkie gdańskie marzenie Jerzego Limona. Historia Fundacji to także niezwykła historia sukcesu oddolnej inicjatywy obywatelskiej. Jest ona symbolem nowej demokratycznej Polski i jedną z najpiękniejszych opowieści o Gdańsku, mieście wolności i Solidarności, w którym zdarzają się rzeczy wielkie i niezwykle. Takim niewyobrażalnym wydarzeniem był patronat księcia Walii, którego udzielił dopiero co po-

wołanej do życia, małej Fundacji. W jednym z przemówień Książę powiedział o motywach, które nim wówczas kierowały: „Jestem nieuleczalnym romantykiem”, a idea budowy teatru była takim niezwykle ambitnym i romantycznym pomysłem. Patronat księcia Karola, otrzymany na samym początku działalności Fundacji, spełnił niezwykle ważną rolę: uwiarygodnił „szalony” pomysł profesora Jerzego Limona, a Fundacji dodał skrzydeł. Patronat robił wrażenie na wszystkich: politykach, biznesmenach, władzach miasta i regionu, sponsorach, a szczególną wagę odegrały osobiste spotkania z księciem, gale, przyjęcia, pamiątkowe zdjęcia. Profesor Jerzy Limon przez cały okres starań o środki na budowę teatru utrzymywał kontakt z sekretarzami księcia i z nim samym, zdając relację z postępów w realizacji projektu.

18 lipca 2017 roku w ramach oficjalnej wizyty na Pomorzu do Gdańska przyjechał syn księcia Karola, książę William, wraz z księżną Kate. Zwiedzili oni Gdański Teatr Szekspirowski, którego prezentacji dokonał dyrektor Jerzy Limon. W szczególności zachwył gości otwierany dach teatru. W 2021 roku, kiedy Fundacja obchodziła swoje trzydziestolecie, pandemia zabrała założyciela Fundacji, twórcę i dyrektora Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego – profesora Jerzego Limona. Książę Karol przysłał wzruszający list kondolencyjny i bukiet przepięknych białych kwiatów.

Justyna Limon

Tratwa szaleńców

Dekoracje epoki

Paweł Huelle

Czy można – w sposób skrótowy, ale konkretny – zamknąć miniony wiek XX jakąś istotną klamrą pojęciową? W dziedzinie polityki, postępu technicznego czy przemian społecznych, zadanie to nie wydaje się zbyt trudne. Kiedy jednak wkroczymy na terytorium sztuki, natychmiast wyrośnie przed nami – niczym Dantejski las rzeczy – gąszcz zagadnień tak trudnych, splót pytań tak skomplikowanych, zespół intuicji tak niejasnych, że trud interpretacji czyli najgłębiej ludzkie pragnienie rozumienia – może być narażone na szwank.

Kiedy w 1961 roku Koreańczyk Nam June Paik, związany amerykańskim ruchem Fluxus, roztrzaskał na oczach publiczności trzymane najpierw w dwóch palcach skrzypce, gest ten, potraktowany jako działanie w pełni artystyczne, wzbudził w wybitnym teoretyku tego ruchu – Dick’u Higginsie – bardzo wysoka ocenę, jako „rozkosznie odświeżający w kontekście klasycznej sceny muzycznej końca lat pięćdziesiątych, niezwykle intelektualnej i wysoce celebralnej”. Ten sam Dick Higgins, gdy ujrzał dokładnie taki sam performance dwadzieścia kilka lat później, nazwał go „ohydny, negatywnym wyrazem postawy artystycznej, tak bardzo dzisiaj powszechnej”. W obu tych, tak skrajnie przeciwstawnych określeniach papieża współczesnej sztuki, tylko pozornie mamy do czynienia z niekonsekwencją. W istocie Higgins jest bardzo konsekwentny: wymagając od sztuki właściwie tylko jednego: prowokacji i złamania tabu. „Odświeżająca rozkosz” może zamienić się w „ohydę” w momencie, gdy nikogo już nie obraża, czy nie budzi skrajnych emocji. A ponieważ czas ulega w naszej elektronicznej cywilizacji coraz większemu przyspieszeniu, owe „dwadzieścia kilka lat później” dzisiaj brzmią wręcz naiwnie. Artefakt zarejestrowany w piątek, przed weekendem, już w poniedziałek staje się nieświeży i przebrzmiały. Najbardziej wydawałoby się awangardowa i niezależna od *vox populi* teoria sztuki, wepchnęłaby ją w obszar żelaznych zasad handlu owocami, czy konfekcją: ważna jest przecież nieustannie owa „odświeżająca rozkosz”, zupełnie tak, jakby artysta projektować miał i dostarczać publiczności co rusz nowej generacji dezodorantów, znikających wraz z potem całego dnia pod wieczornym prysznicem. Niektórzy, jak Stockhausen, posuwają się przy tym do rzeczywistej granicy minimalnej, choćby, ludzkiej przyzwoitości. Nazywając atak 11 września „wspaniałym dziełem sztuki”, podziwiając jego wykonawców, jak „artystów, którzy długo

musieli przygotowywać swoje dzieło”, nie odbiegł jednak daleko od teorii, głoszących przez całe dziesięciolecia po obu stron Atlantyku, że sztuka jest wszystkim tym, co artysta zechce za sztukę uznać – w danym momencie i wyłącznie według własnych reguł. O podobnym zjawisku, tyle, że relacjach społecznych, pisze w swoich znakomitych książkach Zygmunt Bauman. Istotą naszej ponowoczesnej epoki jest jego zdaniem – zjawisko surfowania. Współczesny mieszkaniak globalnego polis charakteryzuje się nade wszystko umiejętnością szybkiego, płynnego przechodzenia od jednej rzeczywistości do następnej, nie przywiązując się do żadnej, ponieważ każde, jakiegokolwiek – choćby i chwilowe – zakotwiczenie, oznacza utratę prędkości przemieszczania, a to z kolei przekłada się na mniejsze możliwości poznania nowych, interesujących propozycji. Bowiem strategią ponowoczesnego życia jest konsumencki stosunek do rzeczywistości. Jakość i wartość egzystencji oceniana jest po tym, jak wiele różnorodnych rzeczy potrafimy wchłonąć, a następnie wydalic bez zbędnych komplikacji. Przekładając to na obszar sztuki – i w nim liczy się obecnie przede wszystkim sugestywna siła nowości. Wszelkie inne kryteria podobno skutecznej anihilacji przez wykluczenie, śmieszenie, bądź przemilczenie, a postawa taka, w znacznym stopniu nagradzana i wzmacniana przez media, stała się de facto jedynym kodem w społecznej komunikacji sztuki. Nic nie budzi dzisiaj większego skandalu niż próba mówienia o wartościach, przy pełnej bezwarłościowości organizowanych skandali w sztuce. Jeden z najwybitniejszych filozofów minionego stulecia. Karl Popper, określił to zjawisko mianem progresywizmu, podkreślając, że o ile pojęcie postępu w naukach przyrodniczych, czy warunkach cywilizacyjnych ma swoje uzasadnione racje, o tyle nałożone na sztukę – prowadzi do niezliczonych nadużyć i nieporozumień.

Teoria, zgodnie z którą sztuka dokonuje postępu dzięki wielkim artystom kroczącym w awangardzie, jest tylko mitem; spowodowała ona powstanie klik i grup nacisku, wraz z maszyną propagandową, bardzo przypominającą działalność partii politycznych czy frakcji kościelnych

wyznał w swojej *Autobiografii Intelektualnej*. Kiedy czytamy napisany w roku 1915 przez Kazimierza Malewicza manifest, uderza nas nie tyle podkreślana w każdym zdaniu nienawiść do wszelkiej tradycji, co absolutne przekonanie autora, że właśnie jego i tylko jego sztuka, dokona totalnej zmiany świadomości, rewolucyjnego skoku, na jaki ludzkość nie mogła się zdobyć od początku swojej cywilizacji. Tylekroć później ponawiany przez kolejne generacje rewolucyjny gest założycielski, kończy się jednak dość dziwnie, by nie powiedzieć – groteskowo. 16 stycznia 2004 roku Orkiestra Symfoniczna BBC odegrała na antenie tejże rozgłośni utwór słynnego Johna Cage’a 4’33”, polegający na niewykonywaniu przez muzyków ani jednego dźwięku, słowem na... całkowitej ciszy. Donosząc o tym na pierwszej stronie „Gazeta Wyborcza”, zaznacza – nie bez znawstwa – że „stacja, by przeprowadzić relację radiową, będzie musiała wyłączyć specjalne zabezpieczenia alarmowe, które reagują automatycznie, gdy na antenie zbyt długo panuje cisza...” Powstały w roku 1952 awangardowy utwór Cage’a, dostąpił w ten sposób nobilitacji i swoistego „uklasycznienia”, ponieważ – jak zaznaczyła wspomniana gazeta – „kompozycja nigdy nie była *grana* przez orkiestrę symfoniczną”. Karl Popper, na wiele lat przed tym wykonaniem, którego nie mógł być już świadkiem, postawił następujące pytanie: „Jak możemy nieustannie wyprzedzać wszystkich innych?” I sam udzielił odpowiedzi – „ambicja napisania dzieła, które wyprzedzi naszą epokę, a najlepiej, żeby nie stało się zbyt szybko zrozumiałe – aby zaszokowało możliwie najwięcej ludzi – nie ma nic wspólnego ze sztuką, nawet jeżeli wielu krytyków kultywowało taką postawę i upowszechniało ją.” Ten, jedyny w swoim rodzaju manifest antyprogresywny, Popper uzupełnił jeszcze uwagą: „jest jednak oczywiste, że nieliczni artyści, którzy byli mistrzami nie tylko w swoich dziedzinach, lecz mieli także dar oryginalności, rzadko kiedy chcieli podążać za modą i nigdy nie starali się być twórcami nowych mód”. Na tle naszej ponowoczesnej czy też postmodernistycznej epoki, zdanie to posiada głęboką moc ożywczej prawdy, przywracając takim pojęciom jak sztuka czy artysta naturalną godność. Twórczość Macieja Świeszewskiego wyrasta z takiego właśnie przekonania.

Jaka awangarda?

Na fotografii wykonanej w roku 1974, młody artysta z Europy Środkowej patrzy w obiektyw aparatu, mając za sobą wieżowce Manhattanu. Podróż do centrum świata, a przynajmniej świata artystycznego, jakim był wówczas Nowy York, przyniosła Maciejowi Świeszewskiemu wiele ważnych

doświadczeń, które zarejestrował zarówno w prowadzonym dzienniku, jak też dziesiątkach szkiców, rysunków i grafik. Są wśród nich także wieże Centrum Światowego Handlu – dziś będące symbolem starcia dżihadu z liberalną cywilizacją Zachodu. Amerykańska podróż, uzupełniona w następnych dekadach pobytami artysty w Londynie i Paryżu, nie zaowocowała wszakże fascynacją ówczesnymi awangardami, które – poczynawszy od lat sześćdziesiątych – niemal mechanicznie wyznaczały pole eksperymentów i poszukiwań nad Wisłą. Świeszewski – niczym niespieszny przechodzień – uważnie rejestrował zmieniające się jak w kalejdoskopie style, kierunki, izmy, jednak żaden z nich – poczynając od dziedzictwa pop artu, action paintingu, informelu czy dokonań kolejnych mutacji Fluxusu – nie stał się mu bliski, czy estetycznie pociągający. Nie oznaczało to, bynajmniej, jakiegoś neoklasycznego upodobania do form przebrzmiałych i faktycznie wyczerpanych. Raczej nieufność wobec przerstu ideologii samego przekazu, nad jego treścią – coraz wyraźniej rugowaną poza refleksję twórców i krytyków. Szukając nowego, własnego języka, artysta znalazł go – jako punkt wyjścia – w sztuce najpełniej awangardowej, jednak rodzimego pochodzenia. Zupełnie jak w chasydzkiej opowieści: skarb znajdował się dosłownie na wyciągnięcie ręki, we własnym domu, tyle tylko, że aby go odkryć, należało wyruszyć w daleką podróż do odległych miast i z tamtej perspektywy, ujrzeć własną drogę i przeznaczenie. Bardzo ważnym wydaje się przy tym fakt, że zarówno Tadeusz Kantor, jak Józef Szajna – obaj w ogromnym stopniu odcisnęli swoje piętno na początku drogi Świeszewskiego – przekraczali granice sztuki, tworząc swoje teatry wyobraźni jako dzieła totalne, bezwarunkowo podporządkowane integralnej, choć skrajnie subiektywnej wizji. *Replika* Szajny, podobnie jak *Umarła klasa* Kantora, stały się ikonami współczesnej kultury, stanowiąc jedyne w swoim rodzaju przypowieści o tragicznym, pełnym napięć doświadczeniu XX wieku, w którym śmierć, destrukcja i przemoc stanowią motyw przewodni. Była to jednak awangarda wyrastająca z doświadczenia historii i za pomocą właściwych sobie środków – próbująca owo doświadczenie wyrazić i przewyczyć. W zderzeniu z wieloma nurtami zachodnimi, które programowo odcinały się od jakichkolwiek znaczeń wynikających z dramatu człowieka zanurzonego w czas i tyranie zbrodniczych utopii, ten rodzaj sztuki nosił w sobie bardzo wyraźne przesłanie: obrony człowieczeństwa w najbardziej podstawowym znaczeniu. Zarówno *Klatka* jak *Umarła klasa* stanowią w twórczości Macieja Świeszewskiego wyraźny ślad podjęcia tej właśnie refleksji. Rzecz jasna, że odbiór tych prac, niesie ze sobą znacznie więcej treści, niż ustalenie ówczesnych fascynacji i wpływów, jakim artysta – nie ukrywając tego – ulegał. Pewne elementy figuratywne, będące później stałym zjawiskiem w obrazach, grafikach i rysunkach Świeszewskiego – mają swoje źródła w filozoficznej refleksji Brunona Schulza

z jego *Traktatu o manekinach*. Rozważania o materii, jakie snuje w nim Ojciec, są przecież – w najdosłowniejszym sensie – próbą uchwycenia sensu istnienia w aspekcie Stwórcy – Boga, jak też każdego artysty, skazanego na nieustanna kreację.

Materia nie zna żartów – powiada Ojciec – jest ona zawsze pełna tragicznej powagi. Kto ośmiela się myśleć, że można igrzać z materią, że kształtować ją można dla żartu, że żart nie wrasta w nią, nie wżera się natychmiast jak los, jak przeznaczenie?”

„Gwałtem narzucona forma”, „parodia”, a z drugiej strony – „cierpienie głuche” – te bieguny Schulzowskiej refleksji o materii, snute przez figurę Ojca na przykładzie manekinów właśnie – stanowią dla wyobraźni Świeszewskiego stały punkt odniesienia. Tę samą, właśnie „tragiczną powagę” podkreślał Tadeusz Kantor, zaznaczając, że w jego teatrze – „manekin ma stać się modelem dla żywego aktora”. Również

postaci Szajny – by przypomnieć wstrząsającą *Replikę* – są „ukukłowane”, poruszając się na scenie-świecie, nieludzkim zrytmizowanym ruchem. Lalka manekin, lalka człowiek, „nadmarioneta” – jak nazywa ją za von Kleistem Gordon Craig – jest więc dla Świeszewskiego nie tyle obsesją pojęciową, ideą przekroczenia tego, co ludzkie i cielesne, co wehikułem, za pomocą którego usiłuje dotrzeć do mrocznych zakątków egzystencji, penetrowanych wyobraźnią. Marioneta – sugerując przez swoje podobieństwo ludzkie istnienie – jest przecież tylko nieudaną kopią, tworem chwilowym, pustą we wnętrzu formą, za którą nie ukrywa się już nic. Podejrzanie, że cały nasz byt jest tego rodzaju kaprysem materii, powołanym nie wiadomo dla czego, na krótki moment spektaklu, reżyserowanym przez nieznanego kuglarza, jest jednym z obsesyjnych motywów Świeszewskiego. Embryon zwiastujący narodziny, niezwykła, szaleńcza żywotność materii objawiona w niezliczonej rozrzutności form, wreszcie rozkład i rozpad określany eufemistycznie śmiercią – oto stale, kompozycyjne elementy

tej twórczości. Czy w *Kuszeniu św. Antoniego*, czy w wielu wariantach *Ukrzyżowania* mamy do czynienia z tą samą, w istocie metafizyczną medytacją. Jej źródła przekraczają, rzecz jasna, horyzont problemów i pytań, związanych z estetycznymi dylematami współczesności. Dla gnostyka bowiem – a jest nim Maciej Świeszewski niewątpliwie – strumień czasu stanowi inny, głębszy rodzaj doświadczenia.

Kontrapunkt i Syzyf

Bez względu na różnice technik i formatów, już pierwszy kontakt z pracami Macieja Świeszewskiego pozwala wyodrębnić wśród nich dwa, zasadniczo różne sposoby kompozycji. W jednym (np. *Statek szaleńców*, *Umarła klasa*) doświadczamy niezwyklej mnogości postaci, których istnienie – jak gdyby stłoczone i pomnożone – nawiązuje do wielkich tradycji Boscha. W drugim (*Ukrzyżowanie* czy *Syzyf*) artysta skupia się na jednej, symbolicznej postaci, potraktowanej z silną, dynamiczną ekspresją. Pisząc o twórczości Świeszewskiego, Krzysztof Stanisławski wspominał o tradycji symbolizmu,

rozumianego jednak nie jako konkretny kierunek czy styl w historii sztuki XIX wieku, ale szersza kategoria estetyczna, rozwijająca się od czasów Boscha, Bruegelów, poprzez manieryzm, romantyzm, secesję (...) aż po Linkego, Wróblewskiego i Beksieńskiego...

Istotnie, gdyby skatalogować topozy i motywy Świeszewskiego, przedstawiona tu lista mogłaby być jeszcze dłuższa, świadcząc o tym, że czerpanie z tradycji i dialog z przeszłością nie muszą wcale ograniczać, ani hamować własnego indywidualnego stylu. Przeciwnie: inspirują i wzbogacają go w stopniu niezwyklej i niepowtarzalnym. Warto jednak zaznaczyć, zwłaszcza przy odwołaniach do Boscha, że kompozycyjna struktura rysunków przypomina w dużym stopniu muzyczną strukturę – raz utworu o jednej, wyrazistej linii melodycznej, napisanego na instrument solo, innym znów razem dzieła polifonicznego, w którym zastosowana zostaje technika kontrapunktu. Tę ostatnią – przeniesioną z muzyki na grunt literatury, próbował się posługiwać się Tomasz Mann w *Czarodziejskiej Górze*, wyznając, iż „zestrojenie tematów, ich wzajemne przenikanie się, było doświadczeniem trudnym, ale fascynującym”. W kompozycji malarskiej jest to zapewne równie trudne, ale chyba nie tak jak w powieści, której odbiór rozłożony jest z konieczności w czasie. Gdy oglądamy *Umarłą klasę* czy *Kuszenie świętego Antoniego*, możemy odnieść wrażenie, że właśnie filozofia kontrapunktu, polegająca – w muzyce – na równoczesnym zestawieniu kilku linii melodycznych wedle określonej, przyjętej zasady – jest dla tych obrazów pewną wewnętrzną, logicznie spójną organizacją motywów, dzięki której natłok postaci nie przeradza się w chaos, ale staje się konstrukcją wyższego rzędu. Przynosi to nowe



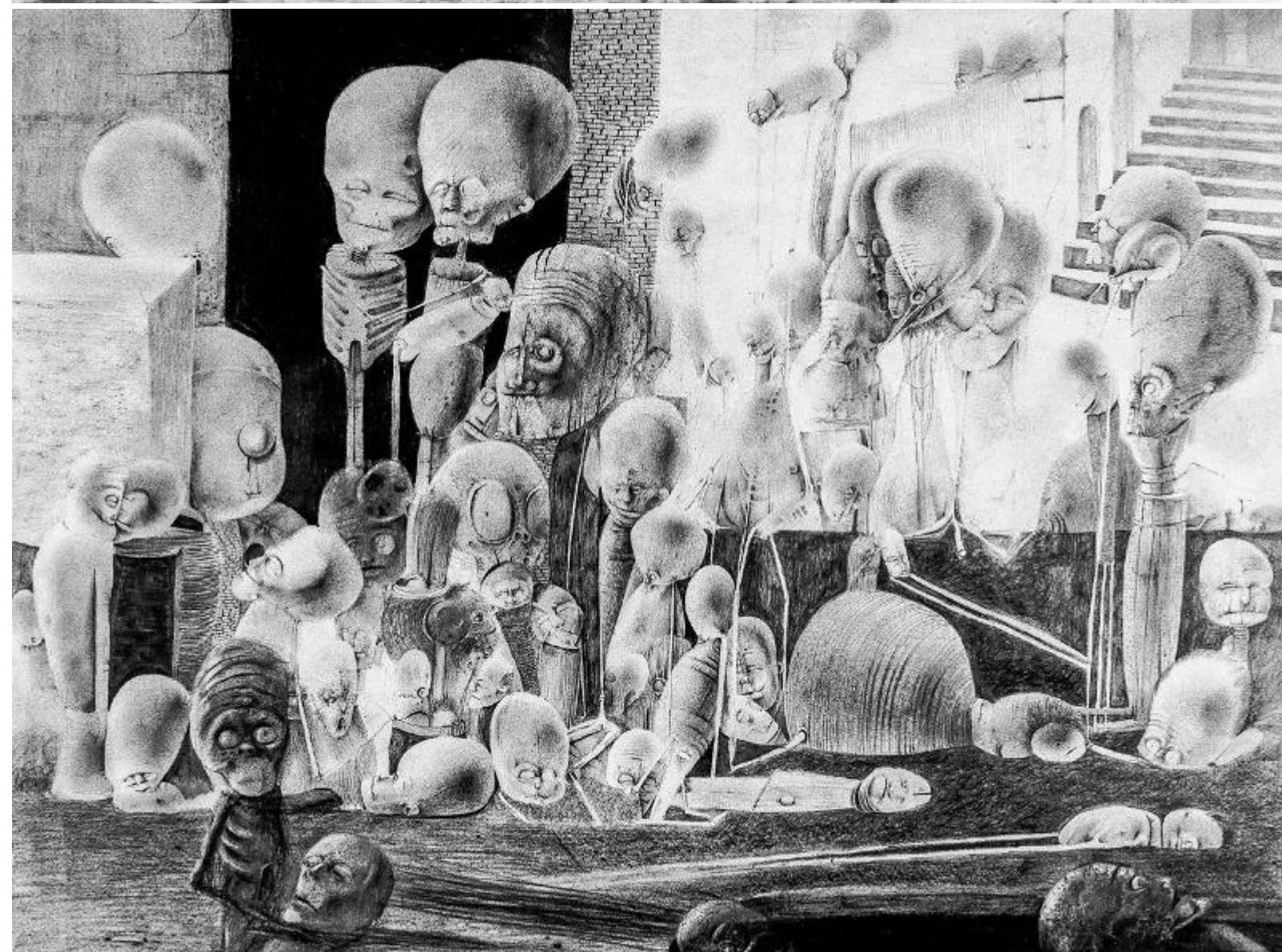
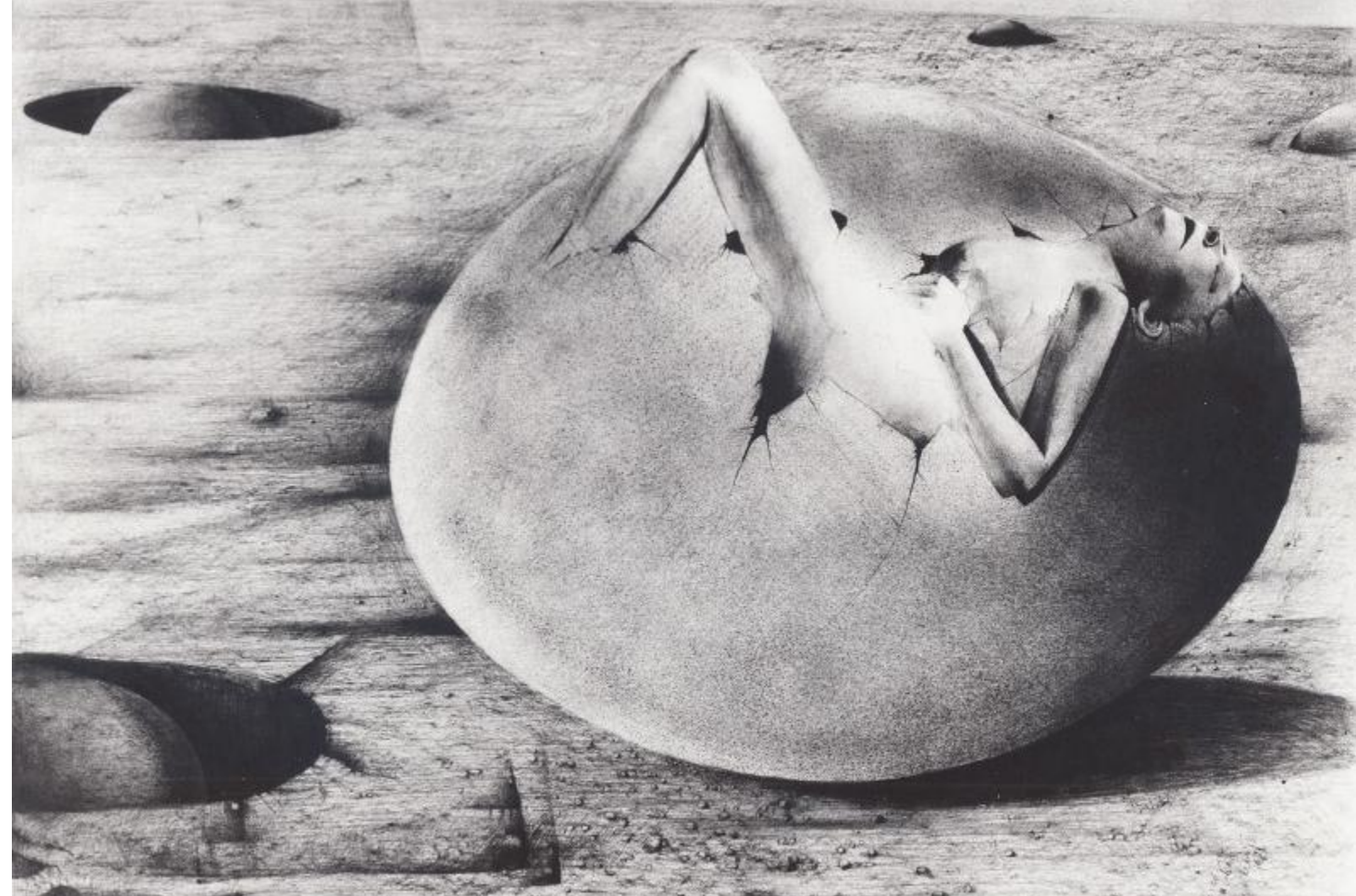
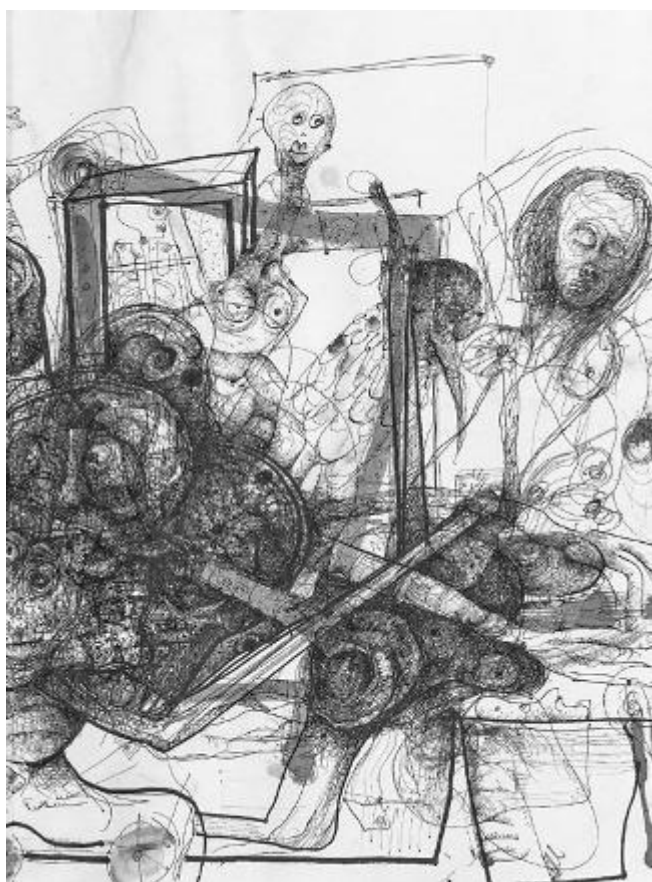
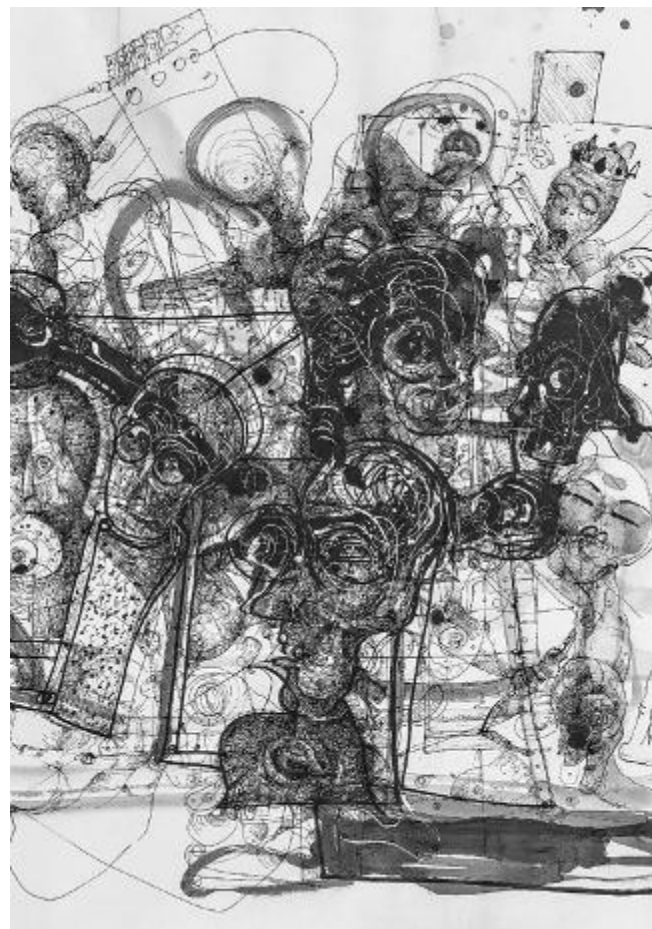
znaczenie, nie wynikające z prostego sumowania zjawisk, lecz ich równoczesności, co – przykładowo – w aspekcie powstania ruchu (embryon) i jego rozkładu (truchło), przedstawia nam jego obraz nie w prostym, linearnym porządku, ale jako postrzeganą w jednym momencie syntezę. Można by tutaj, raz jeszcze, odwołać się do teatru Kantora: jego głęboko muzycznej struktury, równoczesności i powtarzalności pewnych gestów scenicznych, ale warto przywołać refleksję Paula Ricouera, który w „Symbolice zła” stwierdza, że „tragiczna wizja świata związana jest z widowiskiem, a nie spekulacją”. Ten właśnie element zdaje się wydobywać w swoich kontrapunktycznych kompozycjach Maciej Świeszewskiego: za chwilę scenę wypełni mrok, ten sam, który rozpościerał się nad nią przed rozpoczęciem spektaklu. Nieco inaczej artysta komentuje dramat istnienia w kompozycjach z jedną postacią. To Syzyf uginający się pod ciężarem planety. Ukrzyżowany innym znów razem po prostu Człowiek – wypełzający na świat z kosmicznego jaja, lub ogarniający symboliczną przestrzeń kosmosu. We wszystkich tych motywach, oprócz wrażenia niezwyklej napięcia, fizycznego bólu, przerażenia, dzielimy z każdą z tych postaci dojmujące poczucie osamotnienia. Rzecz rozgrywa się w pustce, bez dekoracji – i w przeciwieństwie do kompozycji wielopostaciowych – sugeruje zupełną ciszę, z której dopiero po chwili rozwinię się jednogłosowa pieśń. Tak odzywa się „cierpienie głuche”, odwieczna skarga materii, lustro w którym widzimy następne lustro i następne...

Paweł Huelle



Maciej Świeszewski
rysunki

Sztuka



Emocje i intelekt

O rysunkach Macieja Świeszewskiego

Wojciech Futek

Jeśli malarstwo jest pramatką filmowych obrazów, to pozbawiony koloru rysunek z pewnością byłby w tym przypadku ojcem fotografii. Ale malarstwo nie podbudowane doskonałym warsztatem rysunkowym, nie tylko jest uboższe i mniej naznaczone istotnymi detalami, ale bywa wręcz drogą na skróty, której prawdziwy artysta powinien unikać.

Rysunek jako dzieło sztuki prawie zupełnie ostatnio zniknął z przestrzeni galeryjnych i wystawienniczych, przegrywając komercyjną rywalizację nie tylko z obrazami i rzezbami, ale również z instalacjami, performerami, video-artem czy swoim dzieckiem – fotografią. Nic więc dziwnego, że sztuka rysunku wręcz w dzisiejszych czasach zanika, a jeśli się na wystawach w prestiżowych salach jeszcze czasami pojawia, to bardziej jako obiekt prawie muzealny, traktowany jako pewien twórczy anachronizm. No, ewentualnie jeszcze jako artystyczne uzupełnienie innych, „ważniejszych” form aktywności. Ale przecież to właśnie rysunek, który towarzyszy człowiekowi – w rozmaitych formach – od tysięcy lat jest tak w istocie podstawą wielopiętrowej konstrukcji współczesnej sztuki oraz obowiązkową umiejętnością warsztatową, od której każdy szanujący się artysta *in spe* powinien zaczynać swoją edukację i poszukiwanie własnej twórczej drogi.

Maciej Świeszewski, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, najbardziej znany jest i spełnia się twórczo jako doskonały malarz wielkich, nasyconych kolorami płócien, zaludnionych przez mniej lub bardziej realne stwory i ludzi. Jego monumentalna współczesna wersja *Ostatniej wieczerzy* z rozpoznawalnymi na Pomorzu postaciami stała się w swoim czasie nie tylko lokalną sensacją i atrakcją jednocześnie, a odbiorcy i krytycy doszukiwali się w niej rozmaitych subtelnych aluzji, symboliki i drugiego, a nawet trzeciego dna. Ale w tym malarstwie przejawia się też rzadko spotykana dziś dbałość właśnie o – na pozór – drugoplanowe, wydawałoby się czasami wręcz nieistotne detale. Nic bardziej mylnego. To detale są bowiem głównym bohaterem tych prac. Ale jestem też przekonany, iż jego – cenione przecież i nagradzane – obrazy nigdy by nie powstały, gdyby nie tysiące wykonanych wcześniej szkiców i rysunków. I jako twórca Świeszewski byłby niepełny, a my – ubożsi o tę wyjątkowo ważną sferę jego artystycznej aktywności.

Nikt nie może dość rysować. Nikt nie wykonał tyle rysunków, co ja. Pamiętam, jak mówił ojciec: *Bardzo chcę, żebyś został malarzem, ale nie wolno ci zacząć malować, dopóki nie nauczysz się dobrze rysować, a to jest ogromnie trudne*

– mógłby na pewno dziś powiedzieć o sobie Maciej Świeszewski, gdyby nie to, że słowa te wypowiedział wiele lat przed nim Pablo Picasso. Monumentalne, trzytomowe dzieło albumowe *Maciej Świeszewski. Rysunek. Drawing*, wydane przez ASP w okresie tuż przedpandemicznym (przy życzliwej pomocy wielu instytucji i osób) to wystarczający dowód na to, że w dzisiejszej pogoni za nowościami i formalnymi poszukiwaniami, najbardziej stabilnym punktem odniesienia jest to, co przez lata sztukę definiowało najlepiej. Nie techniczne zdobycze, nie pseudonowatorskie zabawy z formą, ale mistrzowska kreska, w której wszystkie szarości i cienie mają własną rolę do odegrania. Tym trudniejszą, że najczęściej całkowicie pozbawioną kolorów.

Rysunki Świeszewskiego to sztuka wyrastająca z głębokiego doświadczenia kultury; mają (one) aspekty wchodzące głęboko w inne obszary kultury niż sama sztuka, aspekty literackie, mistyczne, filozoficzne...

pisze w jednym z licznych tekstów, umieszczonych w tym wydawnictwie filozof Andrzej Lisak. Jeśli uświadomimy sobie jeszcze, że te kilka tysięcy rysunków (!), uwiecznionych w trzech gigantycznych tomach – niezwykle starannie graficznie i edytorsko opracowanych i opatrzonych licznymi komentarzami i interpretacjami krytyków, pisarzy, publicystów, filozofów czy religioznawców – to tylko mały fragment artystycznego dorobku Macieja Świeszewskiego (wychowawcy kilku pokoleń malarzy, pomysłodawcy konkursu Artystyczna Podróż Hestii, który z lokalnego na początku przedsięwzięcia zaowocował

dwoma dekadami historii, powstaniem Fundacji APH oraz kilkudziesięcioma laureatami i stypendystami), to trudno sobie wyobrazić, ile kolejnych – tak samo wysmakowanych i ekskluzywnych albumów musiałoby jeszcze powstać, aby ująć w nich pełnię twórczości jednego z najwybitniejszych współczesnych malarzy, związanych nierozdzielnie z Pomorzem.

Paweł Huelle, pisząc o rysunkach Świeszewskiego, użył symbolicznego określenia

ogrodu sztuk o rozwidlających się ścieżkach. Takiego labiryntu, w którym – nawet błędząc – nie czujemy się zagubieni. Po drodze nieodmiennie czeka nas olśnienie, lub raczej – w liczbie mnogiej – olśnienia. Absolutną precyzją kreski, niebywale opanowanym warsztatem i pulsującą wyobraźnią...

I nie są to na pewno jedyne powody, dla których warto prze mierzyć wraz z artystą cały ten, misternie spleciony, labirynt. Jak powiedział kiedyś Henri Matisse, malarstwo działa na uczucia i emocje, a rysunek na intelekt. A emocje i rozum są ze sobą przecież nierozdzielnie związane. Rysunek jest tylko i aż początkiem intelektualnej przygody i artystycznej podróży – zarówno dla artysty, jak i odbiorcy. Czy końcowym przypadkiem w tym przypadku jest stacja malarstwa? Być może, choć ta sama droga, bogata w rozwidlenia może prowadzić przecież w różnych kierunkach. Ale jedno jest pewne: malarstwo pozbawione wirtuozerii rysunku jest martwe, bo samo w sobie jest przecież jego najpełniejszym rozwinięciem i formą interpretacji jednocześnie. Emocje i intelekt. Rysunek i malarstwo. Początek i koniec. I wszystko to, co zawarte pomiędzy nimi. Cała wieczność. Artystyczna (i nie tylko) nieskończoność...

Wojciech Futek



Nasze opinie inspirowała seria wydawnicza *Maciej Świeszewski, Rysunek. Drawing*, 3 tomy (4 tom w przygotowaniu), Akademia Sztuki Pięknych/Centrum Sztuki Współczesnej Łaźnia/Wydawnictwo Tadeusz Serocki, Pelplin- Gdańsk 2018-2022; autorzy tekstów: Demostenes, Davetas, Beata Purc-Stępiak, Piotr Sarzyński, Andrzej Lisak, Robert Priseman, Paweł Huelle, Michalina Domoń, projekt graficzny: Joanna Remus-Duda.

„In Danzig” XIX-wieczna poezja w nowej odsłonie muzycznej Kamila Cieślika

Joanna Schiller-Rydzewska

W 2021 roku nagrodę Fryderyk w kategorii Album Roku- Muzyka Współczesna odebrał gdańsko-wejherowski zespół wokalny Art’nVoices. Na jego czele stoi Anna Rocławska-Musiałczyk – dyrygentka, kompozytorka i animatorka, która spełnia się we wszystkich wymienionych rolach. Płyta pod tytułem *Midnight Stories* wydana przez wytwórnię DUX w 2020 roku stanowi ciekawy melanz różnych, całkiem współczesnych propozycji kompozytorskich, w znakomitym wykonaniu zespołu.

W tym kalejdoskopie twórczych pomysłów, utrzymanych w nokturnowym nastroju pieśni, piosenek i ballad znalazł się także utwór gdańskiego kompozytora młodego pokolenia Kamila Cieślika *In Danzig*. Kompozycja powstała specjalnie dla Art’nVoices wpisując się w ideę płyty – nocnych opowieści, tym razem także o Gdańsku. Źródło inspiracji utworu to jeden z najpiękniejszych wierszy o Gdańsku, przykład kanonu niemieckiej poezji romantycznej – *In Danzig* Josepha von Eichendorffa, który pierwotnie nosił tytuł *Nachts*. Dla historyków, literatów i znawców gdańskiej przeszłości postać Josepha von Eichendorffa i jego związek z naszym miastem jest znanym faktem. Jeden z najwybitniejszych poetów niemieckiego romantyzmu spędził tu bardzo szczęśliwe lata swojego życia, o czym pisze m.in. Waldemar Borzestowski na łamach czasopisma „30 dni”. W przeciwieństwie do innych poetów romantycznych Eichendorff wiódł skromne, ale szczęśliwe życie wypełnione troską o dobro rodziny- ukochanej żony i dzieci¹. Urodził się w 1788 roku w rodzinie zubożałej szlachty na niemieckim Górnym Śląsku (w Łubowicach). Jego ojciec, o czym przekonują liczne źródła, prowadził życie „ponad stan”, dlatego matka poety w trosce o przyszłość jego i jego braci zadbała o edukację synów. Eichendorff ukończył studia prawnicze, dzięki czemu mógł podjąć pracę jako urzędnik Królestwa Pruskiego. Tą wymarzoną posadą, która odmieniła jego sytuację bytową, była funkcja radcy kościelnego i szkolnego u Nadprezydenta Prus Zachodnich Heinricha Theodora von Schöna w Gdańsku. Poeta przybył do Gdańska

¹ Por. Waldemar Borzestowski, *Eichendorff w Gdańsku*, „30 dni” 2015, nr 4-5; Waldemar Borzestowski, *Joseph von Eichendorff wobec inicjatywy odbudowy zamku w Malborku*, file:///E:/In%20Danzig/akranich,%7B%7D,+Joseph_Borzestowski_W.pdf, dostęp 16.09.2022; idem, *Eichendorff w Gdańsku*, <https://www.gdansk.pl/historia-gdanska/historie-gdanskie/eichendorff-w-gdansk,a,204786>, dostęp 26.09.2022.



Kamil Cieślik, fot. ze zbioru kompozytora

w 1821 roku i pozostał w mieście do 1824. Później jednak powracał do Gdańska wielokrotnie. Tu osiedliły się na stałe jego dzieci – córka wyszła za mąż za gdańskiego oficera, a syn wstąpił do gdańskiego V Regimentu grenadierów. Wszystkie uroczystości rodzinne – śluby, chrzciny wnuków były pretekstem do przyjazdu do miasta, które stało się sercu poety niezwykle bliskie. Wspomina o tym m.in. P.O. Loew: „Eichendorff to szczególny przypadek w gdańskim życiu literackim XIX wieku. Bardzo rzadko bowiem pisarze światowej rangi wiązali się z peryferyjnym miastem”².

² P. O. Loew, *Gdańsk literacki*, Wydawnictwo Mestwin 2005, s. 17.

Ponadto w 1841 roku poeta został osobiście poproszony przez Króla Prus Fryderyka Wilhelma IV o sporządzenie dokumentacji odbudowy zamku krzyżackiego w Malborku. To wiązało się z kolejnym pobytem Eichendorffa w Gdańsku. Dotarł tu w maju 1843 roku³ i zamieszkał początkowo przy wałach, przed Bramą Wyżynną, przy ulicy Sandgrubbe (dzisiaj Rogaczewskiego). W końcówce września wraz z żoną przeprowadził się jednak na ul. Chlewnicką 43 do córki Therese i zięcia Louisa⁴. Zamieszkał w najpiękniejszej części miasta, na jednej z najpiękniejszych ulic na tyłach Dworu Artusa. To właśnie tu powstał wiersz *In Danzig*, pierwotnie zatytułowany *Nachts* (ukazał się w II wydaniu dzieł zebranych w 1848 roku), który jest w swojej istocie pochwałą gdańskiej architektury, ale także doskonale ujmując specyficzną, tajemniczą atmosferę miasta włączając jego nadmorskie położenie, a nawet warunki klimatyczne, jak choćby częstość występowania mgieł. Wiersz przetłumaczono już w XX wieku na język polski co najmniej trzykrotnie. Znaleźć tłumaczenia Marcina Targońskiego, Bolesława Faca i Andrzeja Lama, które wydaje się najbliższe oryginałowi, i właśnie ten przekład zamieszczam obok oryginału:

<i>Dunkle Giebel, hohe Fenster, Türme wie aus Nebel sehn. Bleiche Statuen wie Gespenster Lautlos an den Türen stehn.</i>	<i>Ciemne dachy, smukłe okna, Wieżę patrzą z gęstej mgły, I posągi niby widma Stoją przy framugach drzwi.</i>
--	---

<i>Träumerisch der Mond drauf scheint, Dem die Stadt gar wohl gefällt, Als läg' zauberhaft versteinet Drunten eine Märchenwelt.</i>	<i>Księżyc świeci z góry tęsknie, Widać z miasta tego rad, Jakby zdjęty snem kamiennym Leżał w dole baśni świat.</i>
---	--

<i>Ringsher durch das tiefe Lauschen, Über alle Häuser weit, Nur des Meeres fernes Rauschen. Wunderbare Einsamkeit!</i>	<i>Przez dookolny sen głęboki, Ponad domów wszystkich rząd Tylko morza szum daleki - Samotności cudny głos!</i>
---	---

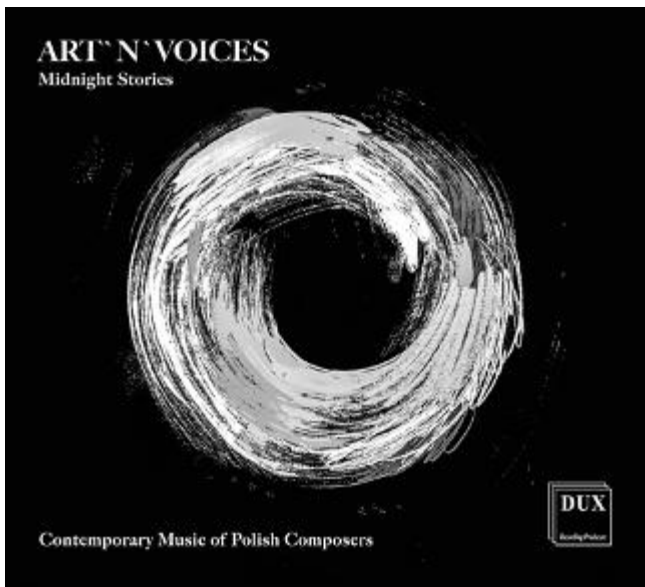
<i>Und der Türmer wie vor Jahren singet ein uraltes Lied: Wolle Gott den Schiffer wahren, Der bei Nacht vorüberzieht⁵.</i>	<i>W ciszy strażnik z ganku wieży Śpiewa swą pradawną pieśń: Niechaj Bóg żeglarza strzeże, Który płynie w nocnej mgle!⁶</i>
---	--

³ Por. Waldemar Borzestowski, op. cit.

⁴ Dnia 2 lipca 1837 r. najstarsza córka poety, Maria Therese, wyszła za mąż za lejtnanta Louisa von Besserer- -Dahlfingena, który przez 10 kolejnych lat stacjonował w Gdańsku; syn Rudolf również związał się z armią i otrzymał stanowisko w 5 regimencie stacjonującym w Gdańsku, por. Waldemar Borzestowski, *Eichendorff w Gdańsku*, „30 dni” 2015, nr 4-5; Waldemar Borzestowski, *Joseph von Eichendorff wobec inicjatywy odbudowy zamku w Malborku*, file:///E:/In%20Danzig/akranich,%7B%7D,+Joseph_Borzestowski_W.pdf, dostęp 16.09.2022.

⁵ Dwa polskie tłumaczenia tego wiersza autorstwa Marcina Targońskiego i Bolesława Faca (poeta prozaik 1929-2000, cyt. za P.O. Loew: *Gdańsk literacki* 1798-1915, s. 16):

⁶ Andrzej Lam, *Poezje Gedichte*, Warszawa-Opole 1997.



Midnight Stories Contemporary Music of Polish Composers | Okładka płyty nagrodzonej Fryderykiem 2021 w kategorii muzyka poważna

Tekst poezji był kilka razy umuzyczniany przez kompozytorów niemieckich, szczególnie zaś gdańskich na początku XX wieku (Hans Pfitzner, Max Stange, Alfred Balfanz). Utwory te przetrwały m.in. w zbiorach PAN Biblioteki Gdańskiej do naszych czasów. Kamil Cieślik sięgnął do tekstu Eichendorffa jednak bez tej świadomości mierząc się z jego mistyczną aurą.

W muzycznej wizji Cieślika na pierwszy plan wysuwa się właśnie mistyczny aspekt poezji. Tempo utworu kompozytor określa sugestywnie: *Andante misterioso*. Już we wstępie pojawia się odwołanie do świata duchów na samogłosce: Uuu... w głosach żeńskich i mormorando w głosach męskich, imitujące odgłos nawoływania.

Ekspresja poetyckiego słowa jest konsekwentnie punktem wyjścia dla całej muzycznej struktury utworu: tonalności, formy i ekspresywności muzycznej.

Podążając za logiką poezji kompozytor różnicuje bowiem muzyczne opracowanie zwrotek, głównie w oparciu o aspekt tonalny. Kluczem dla takiego rozwiązania jest druga zwrotka tekstu, w której poeta przenosi nas w świat baśniowy (*eine Märchenwelt*), eksponując pogranicze tego, co realne i nierealne. O ile więc pierwsza, trzecia i czwarta zwrotka wiersza w interpretacji kompozytora oscylują wokół tradycyjnej tonalności z kręgu dur-moll, o tyle zwrotka druga wprowadza nas w świat bardziej wyrafinowanych zabiegów z pogranicza politonalności i posttonalności.

Tak zakomponowane środki tonalne współgrają ze strukturą formalną. Zwrotki pierwsza i trzecia wykazują szereg podobieństw (w zakresie melodyki, rytmiki, faktury). Natomiast w kontraście do nich pozostaje zwrotka druga, umuzyczniona odrębnie. Czwarta zwrotka przynosi logiczne rozwinięcie materiału i prowadzi do kulminacji; w finale kompozytor powtarza jeszcze raz pierwszą zwrotkę w przearanżowanej formule, grając efektem spowolnienia, zawieszenia, którego



Zespół Art.n'Voices (część pierwsza grupy, dokończenie na dole strony) | fot. ze zbiorów zespołu

zwieńczeniem jest powracający pomysł nawoływania na głosce z początku utworu.

Sfera ekspresyjna pieśni jest także ściśle powiązana ze środkami tonalnymi, wspiera ją dynamika z przewagą *piano*, gdzie *ff* pojawia się jedynie w finale czwartej zwrotki, który jest zaplanowaną harmonicznie i melodycznie kulminacją. Uderzająca jest tu konsekwencja kompozytora w budowaniu mrocznego, mistycznego idiomu.

Do charakterystycznych zabiegów należy także budowanie ścisłego związku między wybranymi słowami poetyckiego tekstu, a muzyką. W pierwszej zwrotce na przykład słowa: *hohe Fenster* umuzyycznione są adekwatnie przez melodyczny skok w górę w partii sopranu. W podobnie charakterystyczny sposób kompozytor eksponuje słowo *Märchenwelt* spowalniając tok narracji i wprowadzając dodatkowy efekt glissandowy, który symbolicznie podkreśla baśniowość w tekście wiersza. W tych i innych sytuacjach uderza więc spójność poetyckich i muzycznych środków wyrazu, które decydują o skuteczności kompozytorskiej strategii.

In Danzig Kamila Cieślika to niezwykle ciekawy przejaw nowego odczytania XIX-wiecznej poezji. Sposób na budowanie związków z przeszłością miasta w atrakcyjnej brzmieniowo i nowoczesnej formie. Cieślik poddaje się poetyckiej wizji Eichendorffa kreując mroczne, tajemnicze nastroje. W tym zakresie pozostaje jednoznaczny, skupiony wokół mistycznej aury wiersza.

Na wspomnianej płycie zespół Art'n'Voices poddaje się tak wykreowanej wizji w swej znakomitej interpretacji. Całość godna polecenia!

Joanna Schiller-Rydzewska

Płyta "Midnight Stories" Contemporary Music of Polish Composers; DUX 1607 „Fryderyk 2021”

Kompozytorzy: Kamil Cieślik, Zuzanna Falkowska, Szymon Godziemba-Trytek, Krzysztof Komeda, Paweł Łukaszewski, Michał Malec, Marek Raczyński, Anna Roćławska-Musialczyk, , Jakub Szafrąński, Michał Ziółkowski,
Wykonawcy: ART'N'VOICES



Całe życie w klatce

– z Julią Marczak rozmawia Wojciech Boros

poezja

W swoich wierszach niczego nie pudrujesz – zabierasz nas w podróż w Nieznane, która jest pozbawiona jakichkolwiek wygod oraz pełna pytań, na które wcale nie chcemy udzielać sobie odpowiedzi. Lubisz pozostawiać czytających zniecka w środku ciemnego pokoju?

Niestety tak. Czasem człowiek potrzebuje znaleźć się w ciemnym, a tej ciemności, mam wrażenie się unika. To Nieznane, o którym wspominasz to nic innego jak miejsce w głębi człowieka, a swoimi tekstami próbuję czytelnika oprowadzić po nim samym. Myślę, że w moich wierszach jest tyle ciemnego, ile sam odbiorca ma w sobie i na ile pozwoli mi do tej jego części dotrzeć. To niestety nie zawsze będzie wygodna i przyjemna podróż. Nie ukrywam, że trochę lubię męczyć czytelnika. Stąd też taka forma. Uważam, że w kulturze jest już dość pudru i wyidealizowanego cierpienia. A przecież życie bywa bardzo nieładne.

Walka o siebie z samą sobą, której towarzyszy cały czas ktoś obok. Jakby obserwował wszystko, co robi podmiot liryczny tych wierszy na kolejnych kartkach. Pisząc, myślisz o obcych spojrzeniach, które towarzyszą dałabym ci na co dzień?

Raczej nie. Sama jestem typem obserwatorki i wbrew pozorom nie zawsze utożsamiam się podmiotami moich wierszy. Dużo z tego, co się w nich znajduje, wynika z licznych prób patrzenia na życie z boku, ale nie są to obserwacje ludzi wokół mnie, a raczej spojrzenie na mnie w kontekście istoty społecznej, osadzonej w konkretnych okolicznościach. Staram się opowiedzieć coś własnego, ale jednocześnie uniwersalnego, tak by czytelnik mógł popatrzeć na siebie trochę inaczej niż zwykle.

Nie da się ukryć, że *entourage* tych tekstów składa się głównie z koloru czarnego i nic nie wskazuje na to, by miało tu kiedyś wejść słońce. Noc jako czas, w którym człowiek może ukryć się na dobre?

Prawdziwą sztuką jest ukrycie się wtedy, gdy słońce świeci najjaśniej. Faktycznie przestrzeń w moich tekstach składa

się głównie z czerni, właściwie można by stwierdzić, że jest to pójście na łatwiznę. Łatwiej jest się ukryć za skrajnie nieszczęśliwym podmiotem, znajdującym się, delikatnie mówiąc, w nieprzyjemnych okolicznościach. Zarówno w sztuce jak i w życiu cały czas uczę się bytowania w świetle dnia. Dopiero wtedy widać wszystkie niedoskonałości.

Bierzesz dość często udział w slamach, nie unikasz konkursów jednego wiersza, zdarza ci się także współorganizować wydarzenia kulturalne – co ci dają tego typu aktywności?

Ja po prostu uwielbiam gadać do ludzi. Tak jak w niektórych społecznych sytuacjach mogę wydać się wycofana, a rozmowy ze mną bywają niezręczne, tak na scenie czuję, że mam coś do powiedzenia, a co ważniejsze, że jestem słuchana. Lubię się wygłupiać, próbować nowych form. Do aktorstwa ciągnie mnie od dziecka. Spełniam się w tym, bo póki co, to jedyne możliwości takiego bezpośredniego przekazu. Podobnie jest z aktywizmem. Organizowanie własnych wydarzeń jest jak zapraszanie kogoś do domu. Tworzenie własnej przestrzeni na mówienie o tym, co mnie interesuje i co uważam za ważne.

Twe wiersze są rozczochrane, niepokorne oraz zorientowane na to, by zrobić większą albo mniejszą zadymę. Wyobrażasz je sobie na wczasach *all inclusive* w Egipcie za dziesięć lat?

Jak najbardziej. Zadyma ma to do siebie, że zawsze jest w modzie, niezależnie od czasu i miejsca. Myślę, że jako ludzie potrzebujemy kontrowersji, chociażby po to, żeby wyrwała nas z marazmu życia. To rozczochrane nie jest przypadkowe. Nawet na najlepszych wakacjach, w pięknych hotelach, przy drinku z pałką wrażliwy człowiek będzie odczuwał więcej niż przyjemność. W końcu nadal znajduje się w jakimś osobistym, indywidualnym, nieidealnym kontekście. Mimo wszystko, wyobrażam sobie, że nawet te moje, jak je nazwałeś, niepokorne wiersze odnajdą kiedyś spokój. Chociaż pewnie nigdy nie przestaną swoją treścią „męczyć” czytelników.



Julia Marczak

KATOWICE

Las w ciełe
Skurcz w stopie
Kłucie w sercu
W czym
W sercu Katowic
Kawiarnia z której nie wychodzisz
Ciemne miejsca
Chmury nad okiem
Motławą i zalewem Koronowskim
Kojarzę Cię po łydce

Oko się styka z horyzontem
Usta z historią sprzed lat
Dożywocie i wcale
Kotara w postaci powieki
Profesor od spraw nieistotnych i ja

Obecnie Kruki nie biorą jeńców
Wrony nie biorą w tym udziału
Gołębie są

Na paluszku pierścioneł
Na głowie za dużo
Powieka na oku kamery
Monitoruje mnie ja

Lepszy jakikolwiek w garści niż nic

Informacją wbił w skórę
Białko w moczu
Ty w Katowicach
Ja w dupie

Obroża na szyi psa
Gołąb na dachu
Mam na myśli Ciebie i mnie
Ale nie na katowickim dworcu

Zawsze
Byleby do środy
Byle do wiosny
Byle do domu
Byleby gdzieś nie w mieście którego nazwa rozpoczyna się
na K

Kozy w nosach dzieci
Białe proszki w nosach dzieci większych
My w mieszkaniu
My w mieście
My w żołądku ssaka
My w okolicy
Kręcimy się w kółko

Kłucie w okolicy zebra
Rzęsa w oku
Wszystko na miejscu
Reszta na wynos

Stać nas na niewiele
Posty na fb
Nic na wyciągnięcie ręki

Obejmuj ramieniem
Szyję talię dekolt
Aż z jabłoni spadnie ostatnie

KUROPATWA

Mówi: nie wiem.
Kuropatwa złapana w siatkę, od 10 minut w zamknięciu,
Całe życie w klatce.

Na nowo ma wątpliwości,
Wątpliwościami okleja ściany w mieszkaniu – karton
z kotem w środku.
5 srok za ogon i dużo gołębi na dachu.

Ja,
Papuzka w klatce piersiowej,
Wypowiadam przypadkowe słowa,
Przypadkowe zdania, akapity, artykuły,
Powtarzam po sobie.

Raz przeszłam komuś przez szyjkę macicy,
Berlin wschodni nogę chciał przenieść na drugą stronę.
Nie było czasu i średnio było po co. Matka po wyciągnięciu
z macicy porzuciła w koszyku z
promocjami w H&M.

Mam co najwyżej prześwity, jakbym stała za firanką. Nie-
liczne ślady użytkowania,
Błogosławieni Ci którzy nie wiedzą, jak chciałoby się
Stopy oderwać od brudnej powierzchni,
Poradzić sobie z przeszłością, raz a dobrze.

Śni mi się, że po latach wracam do rodzinnego miasta.
Poza mną nic się nie różni, trawa rośnie
tak samo powoli, ludzie są tak sam nieprzyjemni.
Wracam, ja, kłębek nerwów w kolorowym papierku,
pamiętam tylko:
Raz przeszłam komuś przez szyjkę macicy.

Staje w środku, nadal widzę zza firanki,
Nic nie drgnęło.
Jest szaro, łapy psa są całe w błocie,
sąsiadki plotkują przy śmietnikach,
zwierzęta wychodzą z nor – ludzie i lisy,
Wszystko rude.

Pachnie deszczem,
Znów mam 7 lat, rodzice na cały dzień zostawili w pia-
skownicy.

Po latach wracam, pod kocami nadal jestem właścicielką
tego gówna, miasto nie drgnęło.

Dziś jest ponuro. Sąsiedzi robią remont kuchni, ktoś gra na
bębnach albo tłucze kotlety.

Kogo żegnamy?
O co chodzi z NFT?
Czy mam zapalenie trzustki?
Jak się zmienia panele?
Czy do mnie wróci to, co puściłam?
Przed wszystkim – po ile za tydzień będą pomidory?

Błogosławieni Ci, którzy nie widzą, jak jest źle.
Trzeba teraz sobie czytać wiersze i opowiadać bajki.

Wszystko zawsze za płotem, poza dostępem rąk.
Przyszłość szczyrzyła zęby, ostrzyła kły,
Podejrzewałam, że będzie bolało.

Teraz,
Dotarło i jest, pod warstwami ukryte „nic”.
To było wiadome,
jak zdejmiesz ubrania, to cię nie ma.

Jest warstwa: pierwsza, druga, trzecia,
Struktura na strukturze.
Jest warstwa: pierwsza, druga, trzecia.
Pod spodem spory brak sedna,
Błogosławieni więc Ci, których nie ma.

Przeszłam komuś przez szyjkę macicy,
Od tego czasu jest inaczej, od tego czasu powtarzam słowa:
Błogosławieni Ci, którzy nie wiem.

Już się nie rozczulam, ja papuzka w klatce piersiowej.
Strasza pierdoła.

Po godzinach

Wojśław Brydak



Z nastaniem czasu zimowego publiką wstrząsnęła wiadomość spod Gór Sowich.

Młodzież, rodzice oraz pedagodzy wybierali patrona Zespołu Szkolno-Przedszkolnego nr 5 w Wałbrzychu. Wśród kandydatur: św. Jan Paweł II, św. Faustyna Kowalska oraz księżna Daisy, czyli Maria Teresa Oliwia Hochberg von Pless, legenda tamtych stron. Głosowanie – no i katastrofa. Działwa wraz z opiekunami wybrali księżną Daisy.

Podniósł się raban, zawodowi narodowcy i katolicy pozielecieli, dali upust, zagrmieli, a do osób stabszych sercowo ruszyło pogotowie. W niedzielę tylko czekać, aż spod ołtarza potępi hecę arcybiskupa spowity w kadzidła. Tyle tylko, że tu najmniej ważne będzie co arcybiskup powie lub czego nie powie. Znajdujemy się już w innym miejscu.

Nie trzeba było wielkiego daru przewidywania, żeby wiedzieć czym się skończy wyzbyty umiaru pęd upamiętniania Karola Wojtyły i ważniejszych postaci katolickich. Najpierw krył się za tym autentyczny podziw, narodowa duma, że papieżem został Polak. I kryła się za tym też odpłata za brutalne peerelowskie wymazywanie wątków religijnych ze świadomości zbiorowej. Początki wyglądały więc zrozumiale. Potem jednak zaczął się wyścig, gietda, kto uczci godniej, klęknie bardziej klęczyście, wzniesie krzyż albo i wieżę wyżej i złociściej wyzłoci jej hełm. W ostatnich dekadach udział w takiej spartakiadzie po prostu się optacał, był swego rodzaju dobrowolną lojalką, a nawet inwestycją. Tak sobie było, było, aż klimat się zmienił, a znaki odwróciły. Przybywało pomników i kościołów, zaczęło zaś ubywać wiernych. Zaważył nie tylko przesyt. Pozycją duszpasterzy zatręśły skandale obyczajowe, duchowni nierzadko czyhali na dzieci, a przez nieporadne zacieranie śladów przewija się nawet wątek papieski. Nauczyciele ośmieszili własne „nauki”, te, w których wtrącanie się do cudzego łóżka uchodzi za „moralność”. Stało się.

Trudno przewidzieć jak przyszli autorzy opiszą tę zmianę, ale zostawmy już ten wątek, bo spod spodu, spod romantycznej awantury w Wałbrzychu wзира ważna inna historia, wcale pogodna.

Po 1944 roku Polska – jako rekompensatę za kawał ziem wschodnich, który przypadł republikom ZSRR – otrzymała szmat ziem byłej III Rzeszy, blisko jedną trzecią kraju

w nowych polskich granicach. Obszar miewał różne nazwy, „Ziemie Odzyskane”, „Zachodnie i Północne”, chętnie przywoływano wieki średnie, kiedy ze zmiennym szczęściem zawiadywali tymi ziemiami Piastowie, Gryfici, nie mówiąc o Prusach, czy Jaćwingach. Literackie cykle, chociażby Karola Bunscha czy Antoniego Gołubiewa podkreślały wątek piastowski. Natomiast unikano, jak diabeł święconej wody, prostego określenia „ziemie poniemieckie”. Bano się o nie, i trochę bano się tej dziwnej własności. Jej powszednia, lokalna przeszłość była dla nowoprzybytych czarną dziurą, upstrzoną napisami w obcym języku.

W zbiorowej świadomości mogły powstać różne wizerunki tych ziem; mogły wziąć górę jakieś dęte sarmackie baśnie, mogło zwyciężyć mroczne i gniewne przekreślenie historii sprzed 1944 roku, w podręcznikach mogły pojawić się cudaczne narodowo-odlotowe gmatwaniny.

Tymczasem poszło inaczej. Po kilku dekadach od wytyczenia nowych granic, po ochłonięciu z wojennego wstrząsu, po podpisaniu gwarancji, rozwinięciu dobrych kontaktów z Niemcami, wzięta górę potrzeba splecenia wątków starych i nowych. I oto po latach na gdańskich tramwajach czytamy nazwiska wybitnych Gdańszczan: Polaków, Niemców, Kaszubów. I oto na murze uniwersytetu wrocławskiego widnieje spis Niemców, noblistów tej uczelni. Wbrew niedorzecznym awanturom polityków funkcjonuje nowy wspólny mianownik: Europa. I oto w Wałbrzychu w głosowaniu na patronkę szkoły wygrywa pewna dawno zmarła Brytyjka, żona niemieckiego księcia na Pszczynie i Książu, bohaterka wspomnień, legend, a wreszcie filmu i musicalu.

Co w tym dziwnego?

Spod spodu wylazi jeszcze jeden, ważniejszy wątek. Na przekór oficjalnemu, stęsknionemu za Średniowieczem parafiańskiemu bajdurzeniu, wzmagą się wysyp nowych książek. Zapoczątkowany *Prześnioną rewolucją* Ledera, potem *Fantomowym ciałem króla* Sowcy, *Ludową historią Polski* Leszczyńskiego i tuzinem innych prac zapowiada poważną korektę postrzegania polskiej tożsamości. Historia ze śląską Brytyjką to drobny odprysk tego postrzegania. Wychodzi na to, że ciekawscy – jak to w Polsce – znowu będą się uczyć historii nie w szkole, lecz poza nią i po godzinach.

Wtedy więcej zostaje w głowie.

Wojśław Brydak

Tu mogę marzyć

Z Andrzejem Stelmasiewiczem, radnym Miasta Gdańska, przedsiębiorcą i założycielem fundacji „Wspólnota Gdańska” oraz twórcą Oliwskiego Ratusza Kultury rozmawia Waldemar Chyliński



Wiem, że wszystko cię obchodzi. Zaczniemy od kultury, biznesu, czy od polityki?

Jedno wynika z drugiego, jedno na drugim się opiera i jedno na drugie ma bezpośredni wpływ. Zaczniemy więc od bieżącej polityki.

Abstrahując od własnych interesów, muszę powiedzieć, że z przykrością patrzę na niszczenie wszystkiego, co w tym kraju było dobre i co się udało zrobić. Mówię o rządach Prawa i Sprawiedliwości, oni wprost demolują fundamenty państwa. Taką mam naturę, że gdy widzę, że ktoś postępuje źle, albo nic nie robi, kusi mnie, żeby mu powiedzieć, a potem pokazać, jak to zrobić.

Jak?

Dla mnie ważna jest triada: zdrowie w rodzinie, zgoda w rodzinie i by mieć za co kupić chleb. To są podstawowe wartości dla każdego człowieka, niezależnie od tego, w co wierzy i jakie ma poglądy. Skoro fundament rodzinie zapecniłem, czas mi było pomyśleć o czymś więcej. Przez kilka lat organizowałem święto ulicy Dickmana, przy której mieszkam, po to, by ludzie mieli frajdę z tego, że mieszkają obok siebie, że żyją w jednym miejscu. Takie spotkania szalenie ułatwiają, a często naprawiają stosunki sąsiedzkie. Od tego zacząłem, ale z czasem inne pomysły mnie poniosły dalej. Mam nadzieję, że ktoś zatęskni do Święta Ulicy Dickmana i wróci do projektu.

Biznes, fundacja, teraz jesteś radnym Miasta Gdańska, no i Ratusz Kultury... Stajesz się nie tylko coraz bardziej zapracowanym, ale też coraz bardziej znanym gdańszczaninem, choć chyba nie tu się dla ciebie wszystko zaczęło?

Nie, jestem dumny z tego, że genetycznie jestem lubelski. Tam się urodziłem, tam się wychowałem, a do Gdańska przyjechałem na studia, bo tylko tutaj można było studiować oceanografię a marzyły mi się rafy koralowe. Ale przez dziewczynę i miłość wróciłem do Lublina i na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej zrobiłem dyplom, pisząc pracę o fizjologii mózgu królika, bo w międzyczasie zmieniłem specjalizację. Potem wróciłem do Gdańska.

Remontując starą kamienicę i uruchamiając w niej Oliwski Ratusz Kultury zrealizowałeś coś, o czym wcześniej nigdy nie słyszałem. Mają aktorzy swoje prywatne teatry, plastycy galerie, ale żeby przedsiębiorca założył dom kultury...

I to wszystko bez żadnego dla mnie interesu finansowego, ale musimy tę opowieść zacząć chyba inaczej, od tego, że pochodzę z proletariackiej rodziny.

Jak większość Polaków. Prof. Andrzej Wasilewski, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego, na podstawie badań twierdzi, że „...prawie wszyscy jesteśmy z chamów”.

To prawda, ale zważ, że w pewnym momencie polska architektura domkowa obfitowała w same dworki. Budowali je ludzie, którzy urodzili się wiele lat po wojnie i nie mogli pamiętać panów dziedziców. Znaczyło to, że Polacy mają kompleksy pochodzenia. A ja nie mam. Moja babcia bogatszym ludziom pranie robiła, dziadek był robotnikiem w browarze. Dzieciństwo miałem szare, biedne i niewesołe, ale studia za tak zwanej komuny jednak skończyłem. Czas nie tyle nauczył mnie pogody, co pokory.

I tak weszliśmy w kulturę polityczną...

Polityka ogarnia wszystko i dotyczy wszystkiego, bo od niej zależą warunki bytu, a że byt kształtuje świadomość, jak mawiał pewien filozof, to pracując wśród ludzi, i w dużej mierze dla ludzi, nie da się pominąć ani świadomości, ani polityki. I tu przechodzimy do wrażliwości. Staram się, szczególnie w tym czasie, wyrabiać w sobie wrażliwość na zwykłych ludzi, a szczególnie na tych, którzy głosowali na PiS. Mimo że ich wybrańcy teraz rządzą, to oni nadal są w trudnej sytuacji, bo cierpią na głęboki deficyt szacunku, którego świat nie chce im okazywać. Stawne 500+ nie tyle pomogło masie ludzi słabiej sobie radzących, co zwróciło na tę część społeczeństwa uwagę. Można powiedzieć, że pomijani i marginalizowani, znaleźli się nagle w tej naszej sztuce życia w centralnym punkcie sceny. Za Tuska stworzono wiele dobrego, ale o najślabszych zapomniano i to Platformę Obywatelską zgubiło.

Bo nie mieli dobrego piaru.

Tego też, ale nie tylko. Samo czynienie dobra nie wystarczy, dobro należy czynić z szacunkiem dla tego, dla którego się je czyni. W dobru, wynikającym z działania rządów PO, niestety, często nie było szacunku i uwagi dla sporej rzeszy ludzi. Zgadzam się, że program 500 + materialnie bardzo niektórym pomógł. Wpływ na świadomość społeczeństwa miał jeszcze większy, choć najbardziej politycznie pomógł Jarosławowi Kaczyńskiemu, o którym mam jak najgorsze zdanie.

To co teraz trzeba zrobić?

Myszę, że najlepszy dla społeczeństwa do życia jest socjalizm. Nie śmieję się, nie myślę o tym, który był w Polsce, bo to nie był żaden socjalizm. Chodzi mi o taki socjalizm, jaki praktykują w krajach skandynawskich, gdzie kapitalista jest syty i zwykły obywatel cały. Oczywiście łatwiej Norwegii niż Szwecji, a Szwecji łatwiej niż Finlandii, ale kierunek jest dobry, bo tam na scenie mieszczą się wszyscy, a rola każdego jest doceniana brawami i szacunkiem. Szacunek dla drugiego, to podstawa. Teraz, przez wojnę na Ukrainie trochę trudniej o tym marzyć, ale trzeba.

Czy więc z potrzeby tworzenia rozumnego socjalizmu powstał Oliwski Ratusz Kultury?

Jest we mnie, jakby nie patrzeć – kapitaliście, niezgoda na neoliberalizm. Kapitalistą jestem niewielkim, nie takim, o jakich się czyta w gazetach, ale jednak mam dość dobrze prosperującą firmę, więc zaliczam się do ludzi przedsiębiorczych i kreatywnych w biznesie. To cieszy mnie i moją rodzinę. Siedzi we mnie jednak jeszcze ten socjalizm, o którym mówiłem, i on sprawia, iż uważam, że kapitalista, gdy już się dorobi, nie powinien kupować sobie kolejnego Mercedesa, lecz powinien się dzielić energią, kapitałem i doświadczeniem z innymi. Kapitalizm jest ustrojem, który służy do pomnażania kapitału. Koniec, kropka. Ale czy to ma być sztuka dla sztuki? A komu to potrzebne? Jeżeli ze sztuki pomnażania pieniędzy nic nie wynika, prócz pychy, to robi się słabo. W ucieczce od tej pychy widzę sens mojej pracy dla pieniędzy, ale ten sens to tylko część sensu całego mojego życia. Jestem mężem, ojcem, dziadkiem, ale też społecznikiem i patriotą polskim i lokalnym. Tu jest wielkie pole do działania, a plony zbierać można niemal natychmiast po zasianiu. Chcąc być patriotą można zacząć od podniesienia papierka na ulicy, albo od zorganizowania święta swojej ulicy, by sąsiedzi mieli okazję się poznać i byli dla siebie życzliwsi. Ja tak zacząłem, ale w pracy jestem szefem, w domu mężem, na wystawie widzem, jednak zawsze i wszędzie jestem człowiekiem. I to jest najistotniejsze, i to tworzy porządek.

Dobrze, mamy więc porządek w głowie i na podwórku. Co dalej? W chwili, gdy miałem już czas i możliwości, bo miałem pie-

niądze i doświadczenie z wcześniejszych działań w kulturze miejskiej, zapragnąłem więcej. Zaczęło się od refleksji, że prócz miejsca zamieszkania wszyscy gdańszczanie mają tylko jedną rzecz wspólną – herb miasta. Herb, to jak dla wierzących słowo boże. Szczególnie tu, w Gdańsku, tu na Wybrzeżu, gdzie solidarność przez małe „s” i duże „S” powinna być codziennością, bo tu okazała dla Polski swą największą wartość. Zaczęło się więc od dwóch lwów z piasku, by to nasze działanie było czytelne i atrakcyjne także dla dzieci. Zaczęliśmy od gdańskich lwów i wokół nich podejmowaliśmy różne działania. Prócz wystawy piaskowych rzeźb na plaży, które zrobiły furorę i były odwiedzane przez dziesiątki tysięcy ludzi, były też konkursy plastyczne, fotograficzne, literackie i mnóstwo innych.

Byłeś już radnym?

A skądże. Jestem radnym pierwszy raz. Wówczas, gdy rodziły się pomysły, o których mówię, byłem zwykłym obywatelem, któremu się chciało, a na dodatek miał możliwości. A skoro tak się złożyło, to realizowałem swoje marzenia i projekty.

Sam?

No nie, tak by się nie dało. Najpierw współpracowałem z już istniejącymi organizacjami, ale one miały już wypracowane formy działania, aktywiści znali swoje siły, a tu pojawia się ktoś z pomysłami i, co za tym idzie, z kufrem problemów. Bładość ich twarzy przekonała mnie, że muszę do tego podejść inaczej. Założyłem własną organizację, Fundację Wspólnota Gdańska. Sam ją najczęściej wspierałem, gdyż bywało, że z miastem nie znajdowaliśmy wspólnego języka.

Ale te rzeźby w pisaku to było spore wydarzenie...

Ty to mówisz i ja o tym wiem. Nasze rzeźby były pierwsze w Polsce, więc mówili o tym w radiu, pokazywali w telewizji, a to przecież potężna promocja miasta. Nie wszystkim się podobało, ale ja to i tak robiłem, bo chciałem. Uważałem, że tak trzeba. Stawiałem więc lwy i inne rzeźby z piasku na gdańskich plażach, postawiłem też kolorowe lwy na Głównym Mieście. Lwy ludziom uświadamiały: „jestem gdańszczaninem”, co powinno ich wbijać w dumę i przypominać o obowiązkach wobec miasta. To było dla mnie ważne. Nie wspomnę już o tym, że lwy tworzyli rzeźbiarze, absolwenci gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych, a malowali malarze po tejże uczelni. Tak czy inaczej, zwykłym mieszkańcom to się podobało i nikomu do głowy nie przyszło, że Stelmasiewicz robi to za własne pieniądze. Wszystko było kolorowe i dla wszystkich. Wszyscy byli pewni, że to miasto wystawia – i z tego powodu miasto zbierało honory i dobre słowa.

A co na to Stelmasiewicz?

Cieszyłem się, bo chyba jednak mało we mnie pychy, więcej potrzeby radości z czynienia czegoś, co potrzebne, a to



Andrzej Stelmasiewicz | Archiwum Fundacji Wspólnota Gdańska

przynosi zadowolenie i skłania do twórczego myślenia. Tu wchodzimy w temat dla mnie najważniejszy, w temat edukacji, bo „Takie będą Rzeczypospolite...” A tak swoją drogą, to ja ten pomysł na ozdobienie kilku miejsc w Gdańsku lwami podpatrzyłem w Szwajcarii, gdy w 2005 roku byłem na biznesowym spotkaniu z moimi dostawcami. Zobaczyłem na ulicach Zurychu kolorowe misie, z którymi ludzie robili sobie pamiątkowe zdjęcia. Dlaczego nie lwy w Gdańsku, pomyślałem. Wtedy też po raz pierwszy spotkałem się z Pawłem Adamowiczem. Na lotnisku. Nawet mu opowiedziałem o tych lwach. On mnie ledwo zauważył, bo takich szaleńców jak ja, to pewnie dziennie z piętnastu spotykał. Ale z upływem lat, gdy pojawiały się moje nowe inicjatywy, nabrał do mnie zaufania. Wracając do edukacji, zacząć trzeba od edukowania edukatorów, bo jak źle przygotowany jest edukator, to niczego dobrego nikogo nie nauczy. Postawy obywatelskiej powinno uczyć się w każdej szkole od pierwszej klasy, bo to potem procentuje w życiu ludzi dorosłych. Trzeba chcieć wychować obywatela, który będzie pojmował, że to dobro wspólne wprost przekłada się na jego osobistą korzyść. I by kiedyś taki obywatel nie stanął bezradny wobec pytania: „Czy naród bez własnej kultury jest jeszcze narodem, czy tylko społeczeństwem konsumpcyjnym”. Sztuka może być elitarna, ale kultura powinna być powszechna, nawet kosztem jakości.

I tu dochodzimy do Oliwskiego Ratusza Kultury.

Mając już swoją fundację, zatrudniłem dwie osoby, ale wciąż nie miałem bazy, w której ta fundacja mogłaby się rozwijać. W pewnym momencie zobaczyłem w prasie ogłoszenie, że miasto chce w budynku, w którym teraz jesteśmy, wynająć pomieszczenie po sklepie spożywczym na antykwariat. Poszedłem do urzędu i powiedziałem, że chcę wynająć, ale na galerię sztuki. Nie mogli i nie dali. Nie znalazł się jednak nikt chętny, więc wkrótce poszło drugie ogłoszenie, że może być na galerię sztuki. Zgłosiłem się i w 2011 roku wynająłem. Nazwaliśmy naszą galerię „Warzywniak”, a na zapleczu, gdzie była siedziba fundacji, pracowało już pięć osób, gdyż inicjatywa się rozrastała. Cyklicznie urządzaliśmy wystawy, kameralne koncerty, i tak się działo do 2016 roku. Wówczas w tym obiekcie nie istniała już legendarna księgarnia i kultowy sklep rybny. Po kolei wyprowadzili się z poddasza ostatni lokatorzy, a nieogrzewany budynek zaczął popadać w ruinę. Nim wydzierżawiłem od miasta cały budynek i zacząłem remont, moja fundacja, poprzez naszą Akademię Gdańskich Lwiątek, kontynuowała edukację tożsamościową i dzieci, wraz ze swoimi nauczycielami odwiedzały muzea, biblioteki i domy kultury. Chodziło o to, by najmłodszy w bezpośrednim kontakcie z historią i dniem dzisiejszym miasta, poczuł się jego obywatelami i w pełni się z nim utożsamiały. Szkoła jest jedyną powszechnie działającą strukturą, obejmującą

wszystkie dzieci, więc z prośbą o pomoc zwróciliśmy się do nauczycieli. I oni nas wsparli. Całe klasy zaczęły odwiedzać miejskie instytucje. Wręczaliśmy uczniom indeksy „gdańskich lwiątek” z opisem osiemnastu obiektów, które należy odwiedzić i wszędzie zdobyć pieczętkę, potwierdzenie odbytej wyprawy. To, mimo problemów, aż do epidemii, funkcjonowało. Raz lepiej, raz gorzej, czasem z problemami, ale działało, ku zadowoleniu wszystkich.

Problemy? Jakie?

By swoimi zadaniami nie obciążać dodatkowo muzeów, chcieliśmy stworzyć coś w rodzaju korpusu koryfeuszy. Otworzyliśmy się na współpracę z osobami starszymi, które oprowadzałyby dzieci po muzeach, czyniąc wizytę ciekawą i dostosowaną do wieku. Zaczęliśmy skupiać wokół siebie ludzi na emeryturze, którzy, chętnie pełniliby rolę społecznych przewodników. Dogadaliśmy się z firmą telekomunikacyjną, która, za reklamę, dała nam kilka telefonów. Otrzymali je do użytku nasi wolontariusze, do których dzwonili nauczyciele w celu ustalenia terminu wizyty w muzeum. Projekt ruszył, ale z kłopotami, bo trochę przeszkadzał w pracy muzealnikom.

Wróć do prezydenta Pawła Adamowicza. W programie Akademii Gdańskich Lwiątek mamy wizyty w Urzędzie Miasta Gdańska, w Radzie Miasta Gdańska, czasami spotykają się z prezydentem. Ty wiesz, jaka to zawsze jest dla nich atrakcja, gdy mogą o coś zapytać najważniejszą osobę w mieście i poprosić o podpis w indeksie? Wielka! Teraz dzieci spotykają się z prezydent Aleksandrą Dulkiem. Wszyscy mają z tego satysfakcję. Dlatego, przy każdej okazji, dziękuję gdańskim nauczycielkom i nauczycielom. Jesteście Państwo wspinali!

Wróćmy do tego, że wydzierżawiłeś w końcu cały budynek.

Patrząc, jak obiekt marnieje, zwróciłem się do władz miasta o dzierżawę całości. W 2016 roku podpisaliśmy umowę dzierżawy do 2066 roku. Na jej podstawie Fundacja Wspólnota Gdańska otrzymała budynek i działkę, na której stoi, pod swój zarząd, a ja, będąc wtedy prezesem fundacji, zobowiązałem się, że gmach ten wyremontuję i będę organizował w nim program kulturalny z możliwością prowadzenia działalności komercyjnej, wspierając finansowo kulturę.

Budynek jest pięknie wyremontowany. Na parterze funkcjonuje sala teatralno-koncertowo-wystawowa na sto miejsc siedzących i obok mała restauracja o nazwie „Tu można marzyć”. Na pierwszym piętrze jest sala wystawowa, pracownia dla plastyków, a także tak zwana pracownia słowa i pomieszczenia biurowe fundacji. A na poddaszu mieści się świetnie urządzone mały hotelik z dziewięcioma pokojami (wszystkie z łazienkami), który ma służyć turystom, ale też artystom u was wstępującym z koncertami bądź wystawiającym swoje prace. Wszystko działa. Czy twoje założenie się sprawdza?

Sprawdza się. Po remoncie, który rozpoczął się od fundamentów i szedł w górę po resztkach ocalałych murów, można powiedzieć, że jesteśmy właściwie w zupełnie nowym budynku i, aż do pandemii, mieliśmy trochę czasu na normalną działalność. Od otwarcia Oliwskiego Ratusza Kultury w roku 2017 do teraz zdobyliśmy sporo doświadczenia. Hotelik na siebie zarabia i nawet zysk mały przynosi. Natomiast restaurację, którą na początku prowadziliśmy sami, trzeba było oddać w agencję. Nam to nie wychodziło. Wiesz, mogę podczas pandemii, czy innego nieszczęścia dopłacać do etatów w fundacji, mogę dopłacać do utrzymania budynku, mogę dofinansować imprezę w ORK, ale dopłacać do restauracji, która zlokalizowana jest naprzeciwko Parku Oliwskiego – to już przesada. W połowie sierpnia 2019 roku naszą restauracją zaczęli zarządzać fachowcy i jest w niej smacznie, zdrowo i stylowo.

Wasza restauracja jest teraz czymś w rodzaju pubu?

Tak. „Tu można marzyć” jest *brasserie*, to znaczy lokalem, do którego wpada się na kawę, ciastka, piwo, przekąski, lunch lub obiad, by posiedzieć, pogadać, odpocząć po spacerze. No i zachodzi się tu również, by pomarzyć.

Skąd nazwa, która brzmi coś jak dworzec, urząd...?

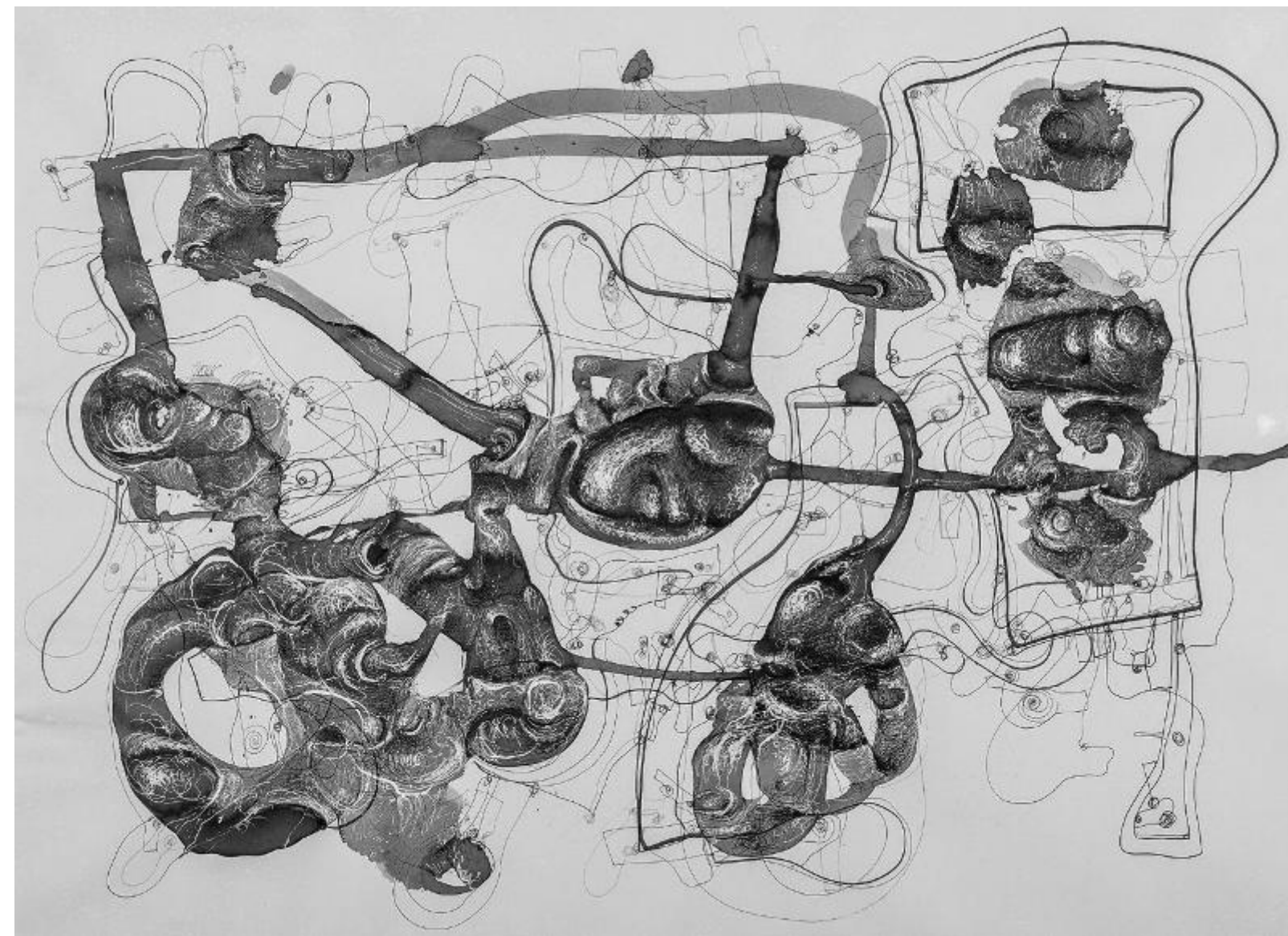
Najpierw chciałem ten budynek nazwać Domem Oliwskim, ale niedaleko, koło kościoła cystersów, jest kamienica, którą właściciel już tak nazwał, więc siłą rzeczy musiałem szukać czegoś innego. Wpadł mi do głowy pomysł z ratuszem. Ratusz to poważna sprawa, a mnie chodziło o to, by działalność przybytku szła na poważnie, nie na niby. Staliśmy się Oliwskim Ratuszem Kultury. Pasowało tym bardziej, że jak się później okazało podczas wygłoszonego u nas przez prof. Andrzeja Januszajtisa wykładu o oliwskich ratuszach, w latach trzydziestych XX wieku władze Oliwy przez dwa lata miały siedzibę w budynku, w którym teraz jesteśmy. Wyszło więc na to, że mój pomysł był dobry i umocowany historycznie.

Odbывают się tu koncerty, wykłady, spotkania, ale wiem, że największą twoją pasją są sztuki plastyczne.

To prawda. Już jako młody chłopak uczestniczyłem w konkursach wiedzy o sztuce. Sam nie mam talentów ani plastycznych, ani muzycznych, a przynajmniej nic o nich nie wiem. Nie, nie, skłamałem, jednak trochę talentu do tworzenia grafiki użytkowej mam, który wykorzystuję, projektując dla nas plakaty, foldery, banery internetowe. Tak, tym talentem chyba mogę się pochwalić. Trzeba pamiętać, że na początku była tylko galeria sztuki. Zdaję sobie sprawę, że galerie sztuki odbiorcy dóbr kultury stawiają na ostatnim miejscu. Do galerii sztuki prawie nikt poza koneserami nie chodzi. Na wernisażach obecni są członkowie rodziny artysty, przyjaciele i dwie, trzy osoby obce. Potem, gdy trwa wystawa, tłumy nie walą drzwiami i oknami, częściej przypadek sprowadza do galerii rzadkiego gościa. Życie

należy widzieć takim, jakim jest i nieważne, czy ta galeria usytuowana jest tu, czy przy ulicy Mariackiej, gdzie przewala się tłum ludzi – wszędzie jest tak samo pusto. Koncerty, wieczory autorskie i inne działania nie przystaniają naszej aktywności w dziedzinie sztuk plastycznych. Obrazy, rzeźby i *performans* w naszych murach oddychają pełną piersią, po to wszystko powstał Oliwski Ratusz Kultury. Intencją Fundacji Wspólnoty Gdańskiej, która Oliwski Ratusz Kultury prowadzi jest, by kultury i sztuka dostępna była dla każdego tak samo, jak przychodzi zdrowia. Dlatego cieszymy się bardzo ze wszystkich nowych inicjatyw. Po spotkaniu ze śp. ks. Janem Kaczkowskim wpadłem na pomysł, by po-

ruszać również sprawy społecznie i tak powstał Wydział Spraw Fundamentalnych, który najczęściej prowadzą ks. Krzysztof Niedałowski oraz Magdalena Krzyżanowska-Mierzewska. Naszymi gośćmi byli śp. Henryk Wujec, prof. Jerzy Zajadło, prof. Jerzy Bralczyk, Jacek Federowicz, sędzia Dorota Zabłudowska. Debaty i spotkania cieszą się dużym zainteresowaniem, będziemy je kontynuować. Przez piętnaście lat istnienia Fundacji Wspólnota Gdańska zrobiliśmy dużo i nie zamierzamy przez następne piętnaście obniżać lotów. Można nas codziennie odwiedzać, żeby sprawdzić, czy nie rzucamy słów na wiatr. Zapraszamy!



Maciej Świeszewski | rysunek

Od błękitu po biel

Zofia Watrak

Wiadomość o śmierci Włodzimierza Łajminga była dla mnie szczególnie bolesnym zaskoczeniem. Mimo pogłębiającej się choroby oczu i stopniowej utraty wzroku, co dla malarza było dramatycznym wyrokiem, wydawał się być pełen życia i nieustającej artystycznej pasji. Dowodem były jego ostatnie obrazy, w których ewidentnie toczył walkę z ograniczeniami widzenia i szukał nowych możliwości malarskiej ekspresji.

Znałam go od lat, a w ostatnim okresie, kiedy prowadziłam kartuską Galerię Refektarz kontakty były częstsze. Był współtwórcą galerii i wieloletnim członkiem jej Rady Programowej. Pierwsza wystawa, przy jego udziale jako aranżera, miała miejsce w 1995 roku i miała znaczący temat – „Święty Franciszek na Kaszubach” autorstwa Józefy Wnukowej. Był inicjatorem wielu wystaw. Własne obrazy prezentował w Galerii kilkakrotnie. W 2018 przedstawił ostatni cykl „Białe na białym”, z okazji osiemdziesiątych piątych urodzin.

Odkrycie refektarza, należącego do zespołu przyklasztornego w Kartuzach na potrzeby galerii sztuki, nie było przypadkowe. Z Kaszubami czuł się związany od dawna. Jego matka, Anna, była znaną pisarką kaszubską. Z czasem zaangażował się w prace Instytutu Kaszubskiego jako jego członek. Świadomość więzi z regionem pojawiła się wtedy, kiedy koloryści „szkoły sopockiej”, której był uczniem i kontynuatorem, odkryli pejzaż kaszubski i wprowadzili go z sukcesem do swojego repertuaru. Najstynniejszy z tego okresu obraz Juliusza Studnickiego *Kościół w Chmielnie* zdobył nagrodę na Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki. Liczne plenery, jakie odbywały się w Chmielnie, ich towarzyski i artystyczny klimat, miały niewątpliwie wpływ na młodego Łajminga i można powiedzieć, że magia tego miejsca była źródłem podstawowego kanonu jego malarskich kompozycji. Z miejscem wiąże się też wiele anegdot, które stały się częścią legendy „szkoły”, jak choćby słynne „marsze na Chmielno” czy fikcyjne sceny historyczne, organizowane przez Juliusza Studnickiego. Brał w nich też udział Włodzimierz Łajming, jako jego uczeń, a także członek gwardii przybocznej Studnickiego.

Chmielno było dla sopockich kolorystów niczym Barbizon dla pejzażystów francuskich. Było dla nich miejscem kultowym. Przyciągało artystyczny świat tamtych lat. Łajming ożywiał go często powracającymi wspomnieniami. Część

z nich chciał ocalić w zgromadzonych rekwizytach – śladach zdarzeń i czasu, które znalazły swoje miejsce w powołanej do życia jego inicjatywy Izby Pamięci w Chmielnie miał dar anegdotycznego opowiadania o profesorach. Ubarwiał ważny dla niego czas studiów w okresie, gdy gdańska uczelnia skupiała elitę polskiego malarstwa, wybitne osobowości, jak profesorowie Artur Nacht-Samborski, Jan Cybis, Piotr Potworowski, Stanisław Borysowski, Stanisław Teisseyre, Józefa Wnukowa. Studia Łajminga przypadały na lata 60., kiedy dokonywały się istotne dla „szkoły sopockiej” przewartościowania. Żył Łajming w cieniu legendy szkoły, był jej świadkiem i uczestnikiem. Nasze częste kontakty sprzyjały wspomnieniom. Piszząc o nim, wielokrotnie odwoływałam się do jego osobistych relacji. Żałuję, że nie doczekały się osobnego zapisu, a są jedynie rozproszone w różnych tekstach. Dziś mogę przywołać jedynie to, co już napisałam i nie mogę nic więcej dodać. Jego dzieło jest zamknięte i skończone.

W moim przekonaniu legenda „szkoły sopockiej” łączy się z legendą awangardowych teatrzyków studenckich spod znaku „sezonu kolorowych chmur”, kiedy młodzi adepci sztuki, przy pełnym wsparciu swoich nauczycieli, rozwijali poczucie wolności artystycznej, doświadczali siły wyobraźni i kreacji artystycznej. Paradoksalnie nowych doświadczeń szukali poza rodzimą uczelnią, w teatrze właśnie. Studencki ruch teatralny tamtych lat z jednej strony był odbiciem specyfiki sopockiej uczelni, jej estetyki uniwersalizmu, formalnego pięknoduchostwa, ale z drugiej strony był przeciwstawieniem się jej tradycji. W teatrze bowiem miały się spełnić nowoczesne tendencje wychodzące poza tradycyjny obraz czy rzeźbę.

Włodzimierz Łajming był aktorem Teatrzyku Rąk i Przedmiotu „Co-to” (w latach 1959-1963). Jak wspominał, chodziło im o szukanie wypowiedzi artystycznej poza uprawianymi na co dzień dyscyplinami. Podstawowym środkiem była



Włodzimierz Łajming, czas studiów, druga połowa lat 50. XX wieku | fot. archiwum rodzinne

ekspresja dłoni, która jest bardziej abstrakcyjna od mimiki twarzy. Kawalek rękawa stanowił rodzaj kostiumu. Gest dopowiadał przedmiot o charakterze metaforyczno-poetyckim. Sekwencje klatek-rąk budowały narrację takich spektakli, jak: *Balet rąk*, *Lot motyla*, czy *Jeziorno łabędzie*. Początkowo ograniczały się do wypowiedzi samej ręki. Z czasem wprowadzone zostały ekrany ze zmieniającymi się konfiguracjami form i barw. Zatem w spektakl zostało włączone malarstwo. Dla Włodzimierza Łajminga był to ważny czas, uzupełniający edukację w pracowni prof. Juliusza Studnickiego, której ramy przekraczały mury uczelni i miały ustanowiony przez profesora własny ceremoniał. Spełniał się w powołanej przez niego gwardii przybocznej, która była quasi-strukturą organizacyjną, gdzie każdy kto dostąpił zaszczytu przynależności, miał przydzielane funkcje i zadania. Jako student, Łajming początkowo zajmował niższą w hierarchii pozycję. Udział w chmielńskich plenarach przesunął ją wyżej, awansował do rangi trębacza. Niewątpliwie gwardia, o żartobliwym czasem groteskowym charakterze, sprzyjała poczuciu artystycznej wspólnoty, zacierającej czasem granice między pracą twórczą a zabawą. Jednym z powtarzalnych ceremoniałów był korowód jej członków, towarzyszący mistrzowi podczas licznych biesiad w SPATIF-ie. Powrót do domu z marynarkami zapiętymi na plecach, przybierał formy parateatralnej inscenizacji życia, której scenariusze pisał sam Juliusz Studnicki, autor także karnawałowych imprez takich jak „pochody masek”, czy „bale na dnie morskim”. To dzięki „gwardii przybocznej” Studnickiego i jej asyście podczas plenerów w Chmielnie, Łajming odnalazł swoje kaszubskie korzenie.

Wyczulenie na kolor, światło i dynamiczną powierzchnię obrazów to zapewne stałe wartości, jakie dziedziczyli uczniowie kolorystów, także Włodzimierz Łajming. Zapamiętał powtarzaną mu często sentencję Studnickiego, że tylko kolor się liczy. Profesorowi pozostał wierny także wtedy, gdy cały jego rok, był to trzeci rok studiów, przeniósł się do pracowni Potworowskiego w przeświadczeniu o jego bardziej nowoczesnych metodach nauczania. Odnalazł własną drogę do nowoczesności, nie tracąc nic z nauk swojego mistrza. Kontynuował tradycyjny temat pejzażu i martwej natury. Podporządkował go jednak czystej grze malarskiej i ulubionym błękitom.

Sądzę, że doświadczenia, wyniesione z Teatrzyku Rąk I Przedmiotu, także wpływ osobowości Juliusza Studnickiego z jego skłonnością do teatralizacji życia, ukierunkowały w jakimś stopniu malarską strategię Włodzimierza Łajminga. Wypracował stały moduł kompozycyjny, który jest synkretycznym połączeniem dwóch odrębnych przestrzeni – pejzażu i wnętrza z martwą naturą. Przypomina to teatralną zasadę ekranów ze spektakli „Co to” z jej zmiennymi konfiguracjami. Również stosunek do przedmiotu na obrazach przekracza jego obiektywne i użytkowej funkcje. Lokowane są w kontekstach symboliki skojarzeniowej, wyobrażeń i przeżyć metafizycznych. Kompozycje odnoszą się do konkretnego miejsca na Kaszubach. Były to Zawory, gdzie Łajming miał letni dom. Stałym punktem odniesienia była góra, a właściwie wzgórze nad Jeziorem Białym. Od strony Chmielna widziała ją również Józefa Wnukowa. Była powodem żartobliwej rywalizacji między nimi o prawa własności do niej. Niewątpliwie Zawory i pobliskie Chmielno,



Włodzimierz Łajming; podczas wernisażu w Galerii „Refektarz” w Kartuzach, rok 2018 | fot. archiwum rodzinne

za sprawą artystycznych spotkań, stały się dla Łajminga przestrzenią wyjątkową. Nadał jej charakter symboliczny. Moduł kompozycyjny jego obrazów jest w zasadzie od lat ten sam. Dominuje w nim podstawowa zasada kontrastu, na wszystkich poziomach organizacji, zarówno form jak i barw a spoiwem porządkującym jest geometria. Określa dynamikę przestrzeni i rzeczy, sprowadzonych do form najprostszych. Układ kompozycyjny oparty jest na podstawowej opozycji linii poziomych, równoległych do horyzontu, dających wrażenie rozciągłości, rozlewności przestrzeni i linii wertykalnych, tworzących poczucie głębi. Dynamizują ten podział skosy, krzywizny i kłistości. Przedmioty nie są tradycyjnie usytuowane we wnętrzach, ale w otwartej przestrzeni, jakby gdzieś w pejzażu, którego statym elementem jest obrys góry, zawsze tej samej, z tym samym punktem ślizgającego się światła na jego lewym zboczu. Dobrze znany artyście pejzaż z chmiieleńska górą, wielokroć obserwowaną, staje się na jego obrazach przestrzenią zmitologizowaną, odtwarzającą archetypiczny porządek świata z górą jako jego centrum, łącznikiem między niebem a ziemią. Pod tą zdyscyplinowaną, logicznie wykalkulowaną konstrukcją wyczuwa się jednak duchowe skupienie i emocjonalny spokój. Obrazy emanują wzniosłym dystansem psychicznym, co związane jest nie tylko z ową surowością i oszczędnością kompozycyjną, ale także tendencja do chłodnej gamy kolorystycznej z dominacją różnych odcieni niebieskości. Gama kolorystyczna oparta jest na paru zasadniczych kontrastach, z których najbardziej dynamiczne są zestawienia żółci i błękitu z tendencjami do gwałtownego przybliżania (żółć) i oddalania (błękit). Kandinsky nazywał

to zestawienie wielkim kontrastem rezonansu wewnętrznego, kontrastem psychicznym. Stylistykę kolorystyczną Łajminga określa gama zawężona do paru zasadniczych kolorów, różnicowanych bardziej temperaturowo niż walorowo. Kompozycję spaja powtarzalny moduł porządkującej konstrukcji geometrycznej. Postawę taką można określić jako kontemplacyjną. Określiwszy zakres tematu i środków cyzelował je w wysublimowany sposób.

Teoretycy barwy i psycholodzy interpretują błękit jako kolor intelektu, sublimacji i dystansu, ale też melancholii i marzenia. Symboliści łączyli go z pierwiastkami onirycznymi. W symbolice średniowiecznej oznaczał uduchowanie. W historii współczesnego malarstwa miał swój błękitny okres Picasso. Gamą niebieskości chętnie operowali też Max Ernst, Paul Klee, August Macke i Franz Marc, a Yves Klein uczynił z błękitu wręcz doktrynę swojego malarstwa. Włodzimierz Łajming sam wyznawał, że jest ogarnięty obsesją błękitu i nie może się z niej wyrwać. Można więc bez przesady powiedzieć, że kolor jest dla niego wyrazem właściwej mu struktury psychicznej, ale też sposobem ujawniania wewnętrznych stanów i symbolicznych treści. Niewątpliwie symboliczny wymiar mają jego obrazy z cyklu *Bramy i Okien*. Bramy przywołują swym kształtem bramy cmentarne a okna mają kształt krzyża. Ich otwarcie w przestrzeń błękitu jest otwarciem w nieskończoność – w rejony kontemplacji, ciszy i uspokojenia. Niebieskości w obrazach Łajminga przechodzą różne transformacje – od głębokich, dźwięcznych tonów poprzez ich rozjaśnienia tracą dźwięczność, zbliżając się do ciszy bieli – niebytu. Martwe natury wczesnego okresu sprowadzone są do symboliki rzeczy podstawowych – prosty obrys stołu, na nim krągłość bochna chleba, jabłka czy jaja. Początkowo jeszcze skosy powierzchni stołu, sugerują perspektywę przestrzenną. Z czasem odczucie przestrzeni budują płaskie „sztywne” powierzchnie i kolor, nakładane jedna za drugą w głąb obrazu. Nadaje to wewnętrzną ruchomość odległości pomiędzy przedstawieniem a płaszczyzną obrazu, z pominięciem tradycyjnej perspektywy.

Malarstwo Łajminga to nie tylko wyrafinowana gra malarzka w duchu kolorystycznych tradycji, to także malarstwo znaków i symbolicznych treści, czego już kolorysty nie tolerowali. Z czasem wprowadza malarz, odległe od kolorystycznych doświadczeń, barwy achromatyczne, jak czerń, biel i szarość. Szarość uzyskuje nie z prostego zmieszania czerni i bieli, ale czerwieni, zieleni i bieli w proporcjach pozwalających osiągnąć różne temperatury – chłodniejsze lub cieplejsze.

Można powiedzieć, że rekonstrukcja świata według Włodzimierza Łajminga dokonuje się poprzez wielokrotnie odtwarzany hierarchiczny porządek, odzwierciedlający ład i istotę wszechrzeczy. Jakże różne to od kolorystycznej estetyki przeżycie pejzażu i jakże inna koncepcja malarzkiego „opracowania motywu”. Łajming należy do pokolenia, które wprowadziło wiele korzyści z lekcji swoich



Wzgórze nad Jeziorem Białym w Chmielnie, legendarna „góra” Włodzimierza Łajminga | fot. Wojśław Brydak

sopockich mistrzów, ale ich zainteresowania przesunęły się bardziej w stronę płaszczyzny i faktury obrazu, były bliższe doświadczeniom nowoczesnej sztuki – informelu, malarstwa materii, taszyzmu i geometrii. Łajming łączył geometryczną konstrukcję obrazu z malarstwem materii. Natomiast umiejętność skrótu myślowego, budowania metafor, symbolicznego traktowania przestrzeni i przedmiotu mają odległe źródła w doświadczeniach teatralnych „Co-to”, gdzie wzajem przenikały się różne dyscypliny, zwłaszcza w końcowym okresie, kiedy malarskie ekrany współgrały z gestem dłoni i grą znaczeniami przedmiotów. Dalsza ewolucja malarstwa dokonywała się już w konfrontacji z wiedzą i rozwijaniem doświadczeniem malarza. Z sezonu kolorowych chmur zachował Włodzimierz Łajming pasje tworzenia, na przekór chorobie oczu, z którą zmagał się od paru lat. Ograniczała jego widzenie, ale nie wolę twórczą. Ostatni cykl „Białe do białego” wydaje się być konsekwencją szukania nowych rozwiązań, gdzie gra kolorystyczna i subtelne niuanse stają się trudne dla oczu, postrzegających świat z ograniczonego punktu widzenia. A jednak tą gwałtowną przemianę ostatniego okresu twórczości da się logicznie uzasadnić konsekwencją rozwoju estetyki barwnej Łajminga. Uwolnił się ostatecznie od „obsesji” błękitu. Znalazł harmonijne przejście do bieli, która była zawsze

obecna w jego malarstwie, tak jak i czerń. Malarz pozostawał między dwoma biegunami- zupełnej bezbarwności, jaką jest czerń a bielą, która jest ośrodkiem światła, zawierającego w sobie potencjalnie wszystkie kolory. Zdążanie do bieli ma więc swoje uzasadnienia we wcześniejszych kompozycjach. Zachowując ten sam schemat kompozycyjny – stabilną siatkę kompozycyjną, z rozluźnionym jednak rygiem geometrii, skupił się na fakturze, uzyskiwanej z materii nie obecnych dotąd w jego palecie, jak choćby piasek także farba mieszana z proszkami o różnej konsystencji i ziarnistości. Uzyskany relief, zależny od jego różnicowanej głębokości staje się aktywny na światło zewnętrzne – nowy komponent obrazu, jego światłocieniowej dynamiki. Biel przestaje być jednoznaczna. Osiąga stan skupienia bliski ciszy, która we wcześniejszych obrazach była tylko pauzą. Logika przemian kieruje Włodzimierza Łajminga w stronę koncepcji „czysto” malarskiego ascetyzmu kolorystycznego, konstrukcji elementarnej, skoncentrowanej na odczuciu przestrzeni w kosmologicznym jej wymiarze, a jej kolorem i staje się biel z jej potencjałem nieograniczoności wszechświata. Śmierć artysty nadaje ostatniemu cyklowi nowej symboliki. Biel staje się przede wszystkim ciszą nieskończoności. Włodzimierz Łajming zmarł nagle 17 sierpnia 2022

Zofia Watrak

W numerze 1/2022 „Słowa” zamieściliśmy serie czarno-białych reprodukcji obrazów Włodzimierza Łajminga; dlatego tym razem drukujemy tylko zdjęcia Artysty i ważnego dla Niego skrawka Kaszub.

Akademia niespełnionych marzeń

Adam Grzybowski

Akademią Nauk Politycznych Wybrzeże nie szczyciło się długo. Otwarty w połowie września 1946 roku Oddział warszawskiej ANP nie zdołał dorównać rangą i znaczeniem pozostałym sopockim uczelniom: Wyższej Szkole Handlu Morskiego i Państwowemu Instytutowi Sztuk Plastycznych.

Prof. dr Edmund Jan Reyman, rektor i twórca tej niezwyklej placówki musiał skapitulować, przed prądami i ideami, które na przełomie lat 1946/1947 stopniowo zdominowały wszystkie dziedziny polskiego życia społecznego i gospodarczego, ogarniając także szkolnictwo wyższe.

Entuzjastyczne przyjęcie

Jednak wiosną 1946 roku przedwojenna renoma stołecznej Akademii Nauk Politycznych zrobiła swoje. Przedstawione propozycje spotkały się z aplauzem lokalnych władz. Nowa placówka miała wypełnić dotkliwy brak uczelni kształcącej kadry na potrzeby administracji państwowej, społecznej i samorządowej. Przychylność wojewody, życzliwość Miejskiej Rady Narodowej i poparcie Pełnomocnika Rządu dla Spraw Wybrzeża sprawiły, że nowej uczelni przydzielono siedzibę przy ul. Marszałka Roli-Żymierskiego nr.27 (dawniej i obecnie ul. Parkowej) – dwupiętrowy budynek w którym należało usunąć dwie ściany na parterze i jedną na I piętrze, by przekształcić 22 pokoje mieszkalne w sale wykładowe. Znajdujący się na posesji zdewastowany po wojnie Ogród Holenderski miał być zagospodarowany „stosownie do potrzeb uczelni i jej wychowanków, szczególnie na cele sportowe”. Doceniając wartość kulturalno-oświatową uczelni i biorąc pod uwagę koszty adaptacji i nakłady materialne związane z uruchomieniem Akademii zwolniono ją na pięć lat z opłat dzierżawnych. Oczekiwano, że rok akademicki rozpocznie się 15 września 1946 roku. Akcja informacyjno – propagandowa, której ilustracją jest plakat Akademii¹ przyniosła nadspodziewane efekty. Zamiast przewidywanych 500 kandydatów w ciągu półtora miesiąca dokumenty złożyło z górą 700 osób. Oznaczało to więc konieczność podjęcia starań o jeszcze jeden budynek oraz o wybudowanie auli, mogącej pomieścić wszystkich słuchaczy.

Miodowe miesiące

Wzorem uczelni warszawskiej utworzono także społeczny organ opiekuńczo – doradczy: 18-osobowe Kuratorium przedstawicieli najważniejszych instytucji państwowych i społecznych na czele z prezesem inż. Stanisławem Zrałkiem, Wojewodą Gdańskim. Jednak kluczową kwestią dla istnienia uczelni stały się jej relacje z upolitycznionym Ministerstwem Oświaty. Początkowo poprawne. Doprowadzenie byłego hotelu Carlton do pożądanego stanu wzięła na siebie Gdańska Dyrekcja Odbudowy. Przewidywano, że prace pochłoną około 1 mln zł i zrealizowane zostaną do 15 września, czyli dnia rozpoczęcia roku akademickiego. Jednak rozpoczęcie robót wciąż przesuwano, więc rektor i rektorat usadowili się w piętrowym domu przy ul. Majkowskiego 29, zaś funkcje sali wykładowej przyjęła aula żeńskiego Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego przy ul. Książąt Pomorskich. W niej także, po nabożeństwie w kościele p.w. św. Jerzego, celebrowanym przez ks. prefekta Pawła Matulewicza, w niedzielę 15 września nastąpiło uroczyste otwarcie sopockiego Oddziału ANP. Inauguracja roku akademickiego była sposobnością dla wyrażania poglądów i oczekiwań, związanych z ANP, jej studentami i absolwentami zarówno ze strony władz administracyjnych, jak i uczelni. Rektor, zwracając się do studentów, podkreślił, że korzystać będą ze wszystkich dobrodziejstw, autorytetu i prestiżu, jakie zdobyła warszawska Akademia, w ciągu 30 lat istnienia:

– Pamiętajcie, że szkoła to nie tylko gmach, grono nauczające i program nauk lecz i zespół jej wychowanków, ich wartość wewnętrzna postawa duchowa i oblicze moralne.



Plakat sopockiej Akademii Nauk Politycznych | fot. ze zbiorów Wojciecha Fułka

Dadzą się one ująć w pięć naczelných nakazów moralnych podniesionych do kultu pracy, prawdy, sprawiedliwości, obowiązkowości i jedności.

Sopocka Akademia miała więc tymczasowy dach nad głową, ale wkrótce utraciła solidne fundamenty. Przy Prezesie Rady Ministrów utworzono dziewięcioosobową Radę Szkół Wyższych, na której czele stanął Włodzimierz Sokorski, I sekretarz Komisji Centralnej Związków Zawodowych. W dekrete podpisanym przez prezydenta Bierutą i premiera Edwarda Osóbkę-Morawskiego, zawarowano, że Rada będzie zajmować się „usprawnieniem pracy szkół wyższych” oraz „dostosowaniem organizacji pracy w tych szkołach do potrzeb demokratycznego państwa”.

Pierwszy zgrzyt

Dekret o likwidacji Akademii Nauk Politycznych i utworzeniu państwowej ANP obowiązujący już od 1 października 1946 roku burzył podstawy sopockiej placówki. W tej sytuacji rektor Reyman i Prezes Zarządu instytutu Społecznego Ludwik Darowski, wystąpili do ministra oświaty Czesława Wycecha, by do treści dekretu wnieść dodatkowy zapis: „Istniejącą od roku 1915 w Warszawie Akademia Nauk Politycznych zostaje przeniesiona do Sopot z zachowaniem

dotychczasowej jej organizacji i uprawnień”. Pismo pozostało bez odpowiedzi, a życie akademickie toczyło się w miarę normalnym trybem. Od poniedziałku 16 września do 20 grudnia odbywały się, przewidziane w planach, wykłady, a po feriiach Bożego Narodzenia – zdawano egzaminy z przedmiotów, które zakończyły się w semestrze zimowym: z Teorii Prawa, Prawa Administracyjnego i Biurowości. Przeprowadzkę do własnej siedziby i objęcie w posiadanie budynku przy ul. Żymierskiego poprzedziło 1 lutego 1947 roku uroczyste poświęcenie go przez słuchacza Akademii ks. Ambrożego Dykiera, który zakończył swoje wystąpienie słowami: – W Imię Boże „per aspera ad astra”. Zajęcia drugiego semestru rozpoczęto 3 lutego. Mimo bardzo ostrej zimy i ogromnych trudności komunikacyjnych nie zawiedli wykładowcy dojeżdżający z Warszawy: dr Henryk Piętka (Ogólna Teoria Prawa), Michał Waškowski (Prawo Administracyjne oraz Postępowanie Administracyjne), dr Jerzy Loth (Geografia Gospodarcza), dr Jerzy Śliwowski (Prawo Cywilne), dr Jakub Sawicki (Historia Ustroju Polski), Leonard Makowski (Pieniądz, Obrót Pieniężny i Kredyt) i Edward Lipiński (Teoria Wzrostu Gospodarczego). Jednocześnie starano się o pilne uregulowanie statusu prawnego uczelni, czyli uznanie faktu, że w Sopocie kontynuowana jest działalność warszawskiej ANP. Miało to

¹ Plakat ze zbiorów Wojciecha Fułka.

umożliwić ostateczne zorganizowanie i obsadzenie na stałe odpowiednią kadrą czterech do pięciu katedr dla przedmiotów podstawowych, ekonomii i skarbowości, prawa publicznego i prawa prywatnego, polityki socjalnej i spółdzielczości oraz ewentualnie geografii gospodarczej łub techniki i organizacji obrotu a także rachunkowości. Ponadto zaś należało ukonstytuować Senat nadający uczuleni normalny ustrój i zapewniającego jej dalszy rozwój. Rektor parokrotnie odwiedzał Ministerstwo Oświaty i wreszcie 6 marca, dzień po rozpoczęciu urzędowania przez nowego szefa resortu, w gabinecie wiceminister Eugenii Krassowskiej² ustalono, że uczelnia sopocka nie zostanie na razie upaństwowiona, a do ostatecznego jej ustabilizowania potrzebne będzie jedynie przedstawienie kandydatów do obsadzenia co najmniej czterech katedr.

Profesorowie

Największą bolączkę wszystkich polskich uczelni wyższych stanowiły braki kadrowe. Sopocka Akademia nie była w tym odosobniona. Dlatego podjęto starania, by korzystać nie tylko z zasobów środowiska warszawskiego, ale także z miejscowych kadr czyli prof. dr. Michała Gniazdowskiego (Ekonomia i Skarbowość), mgr Stefana Krzyżaniaka (Księgowość), dr Gustawa Olechowskiego (Biurowość), dr Edmunda Reymana (Spółdzielczość), dr Antoniego Walaszka (Demografia) oraz lektorów języka angielskiego, francuskiego i rosyjskiego. Ponadto 9 i 10 maja Reyman przeprowadził bardzo owocne rozmowy z władzami i kadrą Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Prof. dr Karol Górski, dr Kazimierz Hartleb, dr Wojciech Hejnosz, dr Stanisław Hoszowski i dr Władysław Namysłowski wyrazili zainteresowanie prowadzeniem zajęć w Sopocie.

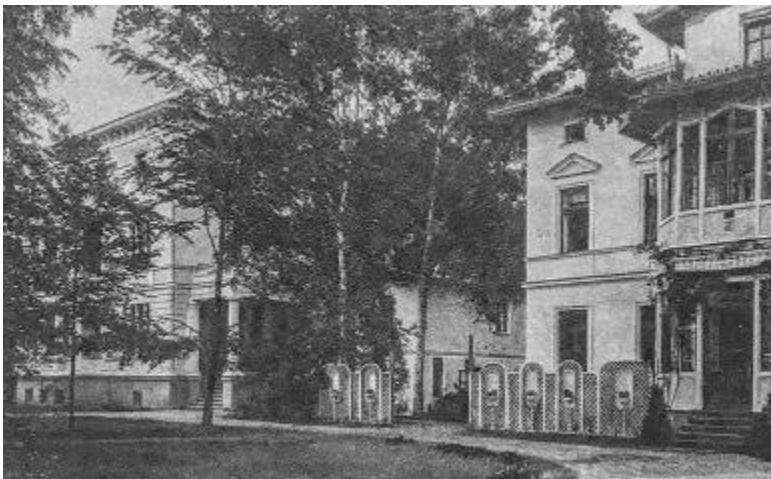
Fiaskiem zakończyły się natomiast negocjacje z Gdańską Dyрекcją Odbudowy dotyczące budowy auli. Także w Ministerstwie Odbudowy stwierdzono, że realizacja tej inwestycji nie ma szans powodzenia. Reyman wysunął więc nową koncepcję, sięgając do arsenatu argumentów politycznych. zaproponował, by stworzyć w Sopocie „ośrodek odrodzenia duchowego i szerzenia idei antywojennych”. A gdy i ta koncepcja nie została podjęta zasugerował, by jeden z pawilonów wystawowych Międzynarodowych Targów Gdańskich stanął na terenie ANP³. Zimą mógłby służyć potrzebom uczelni. Odpowiedzi nie było, a pawilony powstały nieopodal, przy sopockim moło.

W kwietniu 1947 roku „Dziennik Bałtycki” informował: „Akademia istnieć będzie nadal jako uczelnia społeczna, w oparciu o Instytut Społeczny⁴, a miesiąc później bez ogródek deklarował poparcie dla Akademii⁵. Przypominał, że od samego początku musiała walczyć z rozmaitymi trudnościami.

Mimo przerwy wakacyjnej i sezonu urlopowego pertraktowano też z marszałkiem Rolą- Żymierskim w sprawie udostępnienia Akademii sąsiedniego budynku nr. 26 zarządzanego przez MON. Wszystko na nic. Cały trud i wysiłek skwitowało zarządzenie Ministerstwa Oświaty. Stwierdzając, że „istniejąca obecnie faktycznie bez zgody Ministerstwa Oświaty szkoła winna być natychmiast zlikwidowana”⁶.

Na lodzie

Próbowano znaleźć sojuszników gotowych stanąć w obro-nie Akademii, w tym członka kuratorium Eugeniusza



Hotel „Carlton” przy ul. Parkowej, stan przedwojenny | fot. archiwum

Kwiatkowskiego. Jednak pozycja pełnomocnika rządu była już bardzo słaba⁷. Rektor zwracał się też do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Sopocie i Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej by podjęły uchwały o celowości i konieczności istnienia Akademii na Wybrzeżu. Licząc się jednak z bezskutecznością starań, próbował też – jak w czasie okupacji – zorganizować Szkołę Sekretarek i Korespondentek w Warszawie, a w Sopocie powołać Instytut Studiów Społeczno-Administracyjnych.

⁴ z.g. *Losy Akademii Nauk Politycznych na Wybrzeżu*. „Dziennik Bałtycki” 8 IV 1947. s. 4.

⁵ „Dziennik Bałtycki” 13 maja 1947

⁶ Zarządzenia Ministra z 18 VII 1947 r.

⁷ „Diariusz” 11 VIII 1947 s.273. O tym, że decyzja zapadła Kwiatkowski dowiedział się od Cyrankiewicza 24 września wieczorem. Premier powiedział: „Stan aktywny kończy się 31 grudnia 1947 r.”. J. Groszkiewicz. „Głos Wybrzeża” 25 IX 1947 s. 4

W stolicy nie otrzymał koncesji, a zezwolenie Gdańskiego Kuratorium udzielone 5 sierpnia cofnięto 30 września. Akademię wspierał „Dziennik Bałtycki”, mając po przeciwnej stronie barykady „Głos Wybrzeża” i redaktora naczelnego tej gazety Jacka Groszkiewicza⁸, członka egzekutywy KW PPR. Z kolei ogólnopolski tygodnik „Odrodzenie” starał się z jednej strony zrationalizować problem, a z drugiej znaleźć rozsądne wyjście z impasu dla dobra szkoły i studentów. Bezskutecznie.

Ostatnie akordy

Zlikwidowanie uczelni stworzyło poważny problem dla jej słuchaczy. W tej sytuacji Ministerstwo Oświaty poleciło kierownictwu Wyższej Szkoły Handlu Morskiego w Sopocie, by zorganizowało Wyższe Studium Administracyjne dla byłych studentów ANP⁹. Do sekretariatu WSHM przekazano akta studentów Akademii, a specjalna komisja, w skład której wchodził intendent WSHM Stefan Bohdanowicz, zajął się przejmowaniem jej inwentarza i mienia. Tymczasem pasmo kłopotów zdawało się nie mieć końca. 30 października Reyman został wezwany do sędziego śledczego Sądu Okręgowego w Gdańsku. Miał być świadkiem w sprawie skargi Akademii Nauk Politycznych w Warszawie, że bezprawnie używa nazwy Akademii. Szybko też zorientował się, że nie jest świadkiem lecz oskarżonym. – Wprost trudno mi uwierzyć – pisał Reyman do jednego z przyjaciół – aby godność ludzka oraz pragnienie zmaltretowania i całkowitego zniszczenia człowieka (i za co?) mogło doprowadzić do wyszukiwania tego rodzaju nieistniejących powodów dla wytoczenia sprawy karnej. O ostatecznym rozstaniu z Akademią, Sopotem i naczelnymi władzami Reyman poinformował Eugeniusza Kwiatkowskiego¹⁰:

Wyjeżdżam rzecz zrozumiała pełen żalu i goryczy, że rozpoczętego dzieła w którym tak wielkie pokładałem nadzieje, a które tak świetnie się zapowiadało – w drugim roku swego istnienia liczyłaby około 2.000 słuchaczy – nie pozwolono mi prowadzić dalej, a w nagrodę za poniesione trudy i wysiłki obrzucono mnie inwektywami i oszczerstwami, na które wszelkie ze swej strony publiczne wyjaśnienia uważałabym za uwłaczające mej godności. Na domiar wszystkiego [...] jest zamiar postawienia mnie jeszcze w stan oskarżenia

Kończąc prosił, by Kwiatkowski — pomimo wszystkich tych insynuacji i napaści — zachował głębokie przekonanie, że

⁸ J. Groszkiewicz. „Głos Wybrzeża” 25 IX 1947 s. 4

⁹ Archiwum PAN sygn. 302/190/0. Dyrektor WSHM Wł. Kowalenko do Rektoratu Akademii Nauk Politycznych w Sopocie. 22 X 1947.

¹⁰ Archiwum PAN sygn. 302/190/0. List E. Reymana do E. Kwiatkowskiego. Sopot, 14 listopada 1947



Budynek przy ul. Parkowej, widok współczesny | fot. Adam Grzybowski

sprawa, której udzielił swej pomocy i poparcia, w zupełności na to zasługiwała.

W roku akademickim 1946/47 — pierwszym i jedynym roku istnienia sopockiej uczelni – studiowało w niej 972 słuchaczek i słuchaczy (323 na wydziale Administracji Publicznej. oraz 649 na wydziale Finansowo-Ekonomicznym, w tym 305 kobiet, w wieku od lat 19 do lat 51, przeciętny wiek wynosił 29 lat. Przeważającą liczbę słuchaczy, bo przeszło 80 procent, stanowili ludzie pracy, z czego 65 procent urzędnicy państwowi, 20 proc. – z instytucji samorządowych i społecznych, 5 procent stanowili nauczyciele, a pozostałe 10 procent — wojskowi, przedstawiciele zawodów wolnych oraz pracownicy sektora prywatnego.

Jej program i aspiracje przeszły do historii na kilka tygodni przed tym, gdy 28 października 1947 roku uchwalono dekret o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego, znoszący autonomię wyższych uczelni.

Rok 1947 był rokiem zwycięskiej batalii o realizację „trzeciej reformy” – reformy szkolnictwa przeprowadzonej pod nadzorem Rady Szkół Wyższych¹¹.

Adam Grzybowski



Odpowiedź na wniosek o budowę „Patacu pokoju” | fot. archiwum PAN

¹¹ Wacław Piotrowski, *Zagadnienia nauki i szkolnictwa wyższego*. „Przegląd Socjologiczny Sociological Review” 1948 nr 10 s. 490-498.

„Maj nad Wilią”

Refleksje po 29. Międzynarodowym Festiwalu Poezji

Maciej Żakiewicz

*Szli krzycząc: Polska! Polska! - wtem jednego razu
Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna
Szli dalej krzycząc: Boże! ojczyzna! ojczyzna!
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka
Spojrzał na te krzyczące i zapytał – Jaka?*

Juliusz Słowacki

Kiedy spoglądam z Gdańska w kierunku Wileńszczyzny, wchodzącej obecnie w skład Litwy i Białorusi, przywołuję w myślach drogę prowadzącą doń przez Żuławy nadwiślańskie, Warmię i mazurskie pojezierze, mijając na północy linię graniczną z rosyjskim okręgiem królewieckim, by w końcu przez Suwalszczyznę, wjechać w urokliwe litewskie obrazy. Dla Ojca były to ziemie bardzo podobne pod względem krajobrazowym.

Niepowtarzalny koloryt, trudno dostępny dla nosiciela innej kultury

Wileńszczyzna to pewien archetyp kulturowy, głęboko zanurzony w polskiej tradycji. Dzisiaj ziemie te oczywiście wyglądają inaczej niż przez 1939 rokiem, a i kształtują je nowe, idące jak fala za falą, pokolenia Litwinów, Polaków, Białorusinów, którzy sięgają do innej często kliszy doświadczeń. Jest to jednocześnie ziemia zamieszkała przez społeczność, którym po latach II wojny światowej i sowieckiej ideologii starano się zabrać ich własne dzieje. Współczesny zakonnik, kapucyn, Jan Fiłek, wyraża pragnienie aby:

Ci wszyscy, którzy żyją na „Hiobowej ziemi”, podjęli tożsamość swojego istnienia w Kościele, przez zmartwychwstanie do miłości, przebaczenia. „Dał Pan i zabrał Pan, Niech będzie imię Pana błogostawione”. Ks. Hioba.

Ziemia Wileńska jest zatem topofilią wpisaną w szerszy kontekst emocjonalnych związków człowieka z daną przestrzenią i z tym wszystkim, co się na niej znajduje (dziwy przyrody, uroki krajobrazu, jak i wytwory kultury, czyli

noosfery). Wszystkie te kresowe topofilie i nostalgje mają swój niepowtarzalny koloryt, trudno dostępny dla nosiciela innej kultury. Dzisiaj ten skrawek ziemi, gdzie mowa polska, białoruska jest traktowana przez Moskwę jako kresowa, „peryferyjna”, jest zagrożona rosyjską, mińską urzędową uniformizacją. Ale czy odradzające się duchowo Wilno będzie zdolne do oddziaływania na dawny powiat oszmiański, ziemię nowogródzką, Białostoczną, nie wspominając o świętej Żmudzi. W sytuacji, kiedy Władysław Syrokomla w wycieczkach z Wilna przez Kowno, już nie pojedzie do Królewca. O czym pięknie pisał w książce *Wycieczki po Litwie w promieniach od Wilna* (Wilno 1860).

Królowie ducha państwa istniejącego poza czasem

Jak zaznacza współczesny socjolog z Poznania, Artur Mikuć:

550-lat wspólnych dziejów Polski i Litwy, pomimo XX-wiecznego złamania tej przyjaźni, trochę nieszczęśliwym małżeństwie, nie jest to łatwe oddzielić. (...) Każdy w zasadzie Polak ma jakiś szczep Litwy w sercu. Słowo Litwa robi na mnie wrażenie, a jakie to jest wrażenie, to już zależy od jego wykształcenia, od jego rodziny, od tego co wyniósł z domu. U nas to słowo zawsze się pielęgnowało w domu rodzinnym i w szkole. To słowo Litwa, bardzo, bardzo drogie i bardzo, bardzo cenne...

o w Wilnie spotkałem aktorkę Beatę Poźniak, której mama urodziła się w Wilnie, gdzie i mieszkali jej dziadkowie. Dziadek przed wojną nauczał historii i polskiego w szko-



Od lewej Maciej Żakiewicz, Beata Poźniak, Jan Stolarczyk przy bramie Cmentarza na Rossie w Wilnie. Maj 2022 rok | fot. archiwum kwartalnika „Znad Wilii”

le wileńskiej. Ona sama w 1983 roku debiutowała w roli Justyny w *Vatzlavie* Sławomira Mrożka w Teatrze Wybrzeża w Gdańsku, potem wyjechała do USA, owocnie realizując swoje zamierzenia aktorskie. Pozwólmy zatem Polakom, piszącym o Litwie, Wilnie i Wileńszczyźnie odzyskać nie terytorium, ale swoją historię. Idąc ścieżkami Mickiewicza, Słowackiego, Kraszewskiego, Syrokomli, Moniuszki, Jasienicy, Łowmiańskiego, Miłosza, czy Ojcowskiego „Tryptyku Wileńskiego” można zauważyć, jak pisała prof. Nina Taylor-Terlecka:

Z tą krainą kojarzy się jeden z głównych mitów tkwiących w polskiej świadomości i podświadomości zbiorowej. (...) Tam znajdują się święte miasta polskie, gdzie urodzili się poeci uchodzący za wieszczów, królowie ducha państwa istniejącego poza czasem.

Okresy: Jagiellonów XV-XVI stulecia, romantycznych wieszczów z pierwszej połowy XIX wieku, romantycznych socjalistów i legionistów Piłsudskiego z początków XX stulecia, stały się dla potomnych czymś w rodzaju mitycznych czasów, w stronę których kierujemy nostalgiczne spojrzenia, zawsze wtedy, gdy następują nowe czasy, pełne dramatycznych zmian, niosące ze sobą tyle samo obaw, co i nadziei. Poeta Kazimierz Wierzyński pisał:

Serce, serce na Rossie,
które tam usnęło,
By jeszcze jednym w ziemi ostrobramskiej ziarnem
Obradzać, jak Mickiewicz, i trwać, jak Jagiełło,
Pod niebem prawd tak żywych, że aż legędarnem.”

...gdzie wieszcz pisał Grażynę

Wyjazd na Litwę sierpniowym latem 2022 roku, będę wspominał nie tylko ze świetną anegdotą przytoczoną przez Jana Stolarczyka, przez 27 lat współpracownika poety Tadeusza Różewicza z Wrocławia, redaktora wielce udanej dolnośląskiej serii wydawniczej *A to Polska właśnie*, który opowiedział, że na konkursie poetyckim, ogłoszonym we Wrocławiu, wygrał dwuwiersz: „Litwo Ojczyzna moja, Ty jesteś za granicą”. Ale również i z tego powodu, że 14 sierpnia byłem gościem, wraz z przyjacielem z Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, dr. Arkiem Staniszewskim, i moją córką, Łucją na 29. Międzynarodowym Festiwalu Poezji „Maj na Wilią”, organizowanym przez niestrudzonego redaktora kwartalnika „Znad Wilii”, Romualda Mieczkowskiego, urodzonego w Wilnie.

Spotkaliśmy się wszyscy przy pomniku Adama Mickiewicza, a potem w domu-muzeum, gdzie wieszcz pisał *Grażynę*. Na dziedzińcu, uczestnicy pracowali nad słowem, wypowiadając swoje refleksje, fragmenty wierszy, wspomnień. Dalszy ciąg poetyckiego spotkania odbywał się w kościele franciszkanów. Świątynia jest od wielu lat odbudowywana przez polską prowincję franciszkanów, zakonników przybyłych również z Gdańska.

W dniu następnym, złożyliśmy wizytę na Cmentarzu na Rossie. Odwiedziliśmy Wzgórze Literatów, gdzie leżą poeta Władysław Syrokomla, Czesław Jankowski, redaktor wileńskiego „Słowa” i autor czterotomowego *Powiatu Oszmiańskiego* (Petersburg 1900). Także autor *Poematu mieszczańskiego* Światopełk Karpiński, na którego pogrzebie w 1940 roku był obecny Czesław Miłosz.

Drobna postać profesora Jerzego Grzywacza

Byliśmy w kaplicy, gdzie pochowano szczątki przywódców i powstańców styczniowych 1863 roku. W końcu przy grobach „pięknej Pani” – pierwszej żony Piłsudskiego, Bécu – ojczyma Słowackiego, którego zabił piorun i Jerzego Ordy (1905-1972), historyka, przewodnika wileńskiego i archiwisty, który nie mógł żyć bez Wilna. O godzinie 12.00 przy grobie „Matki i Sercu Syna” uczestniczyliśmy w uroczystościach z okazji Święta Wojska Polskiego. Wieniec złożyła ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Wilnie, Urszula Doroszevska oraz Attaché Obrony, Wojskowy, Morski i Lotniczy płk. Sławomir Pawlikowski. Licznie stawili się harcerze wileńscy oraz przybyli z Bydgoszczy i Trójmiasta. W gdyńskim harcerskim kręgu spotkać można było drobną postać profesora Jerzego Grzywacza, który w czasie Powstania Warszawskiego był chłopcem listonoszem, po wojnie zamieszkał na powrót w Gdyni, dokąd jego rodzinę



Letni widok na wieżę kościoła Bernardyńskiego | Z archiwum rodzinnego autora

wysiedlili hitlerowcy z końcem 1939 roku. W latach 60. XX wieku, jako fizyk, na stypendium przebywał w Anglii, rozmawiał wówczas z generałem Władysławem Andersem o bitwie pod Monte-Cassino. W 1985 roku, jako dziekan Wydziału matematyczno-fizycznego w Uniwersytecie Gdańskim, bronił dobrej pamięci Marcina Antonowicza, studenta wydziału chemicznego Uniwersytetu Gdańskiego zabitego w czasie stanu wojennego w Olsztynie. W 1987 roku Jan Paweł II przyjął profesora w Kurii Oliwskiej na krótką rozmowę, podczas swojego pobytu w Gdańsku. W latach 90. profesor był radnym Rady Miasta Sopotu. Powiedział: „Co roku jeżdżę z harcerzami na cmentarz na Rossie.”

O prawdzie i poezji, która przynosi pokój

Była wizyta w Czarnym Borze w Mackiewiczówce i wspaniała dyskusja o prawdzie i poezji, która przynosi pokój. Dyskusja z zarysem postaci Józefa Mackiewicza. A także zdjęcie

pamiątkowe pod domem, w którym mieszkał w czasie wojny ks. Michał Sopoćko. Prowadzili spotkanie dr. Barbara Jundo Kaliszewska, urodzona w Ejszyszkach, i dr Tomasz Snarski. Twórczość pisarska Józefa Mackiewicza przykuwała uwagę wielu od połowy lat 80. ubiegłego stulecia, kiedy to w Polsce Ludowej zaczęły pojawiać się drukiem w drugim obiegu jego prace. Rozmach pisarstwa historycznego Józefa Mackiewicza można porównać do innego XIX-wiecznego wilnianina Józefa Ignacego Kraszewskiego. Pisarz co prawda urodził się 28 lipca 1812 roku w Warszawie w ziemiańskiej rodzinie, ale w 1829 roku podjął studia na Uniwersytecie Wileńskim, w grudniu 1830 roku, wraz z grupą młodzieży, został aresztowany za działalność konspiracyjną. Kraszewski przebywał w więzieniu aż do marca 1832, od grożącej mu branki do carskiego wojska uratowało go wstawiennictwo ciotki, przełożonej wileńskich wizytok u generała – gubernatora. Oczywiście ten pierwszy żył w czasach dużo bardziej dramatycznych, które wyznaczały dwie wojny światowe i ich tragiczne skutki.

Ciekawą pracą historyczną Józefa Mackiewicza jest *Kontra* poświęcona Kozakom, którzy podczas II wojny światowej, uciekając przed Stalinem, zgodzili się na kolaborację z hitlerowcami. Po kapitulacji w Jugosławii przed wojskami alianckimi zostali wydani siłą władzom stalinowskim i wywiezieni w głąb Związku Radzieckiego, gdzie wielu znalazło się w łagrach. Dzisiaj jego prac z zakresu publicystki politycznej raczej nie drukuje się, ale osądzanie Mackiewicza, jak pisał Czesław Miłosz:

...według politycznych kryteriów nie zaprowadzi daleko. Dajmy na to, że był maniakiem, Don Kichotem, utopistą, niemniej to polityczna pasja odżywiła Jego pisarstwo, które było ściśle realistyczne, ale zarazem chciało służyć, czyli być pisarstwem z tezą. A tezy brały się z jego uczciwości i moralnego oburzenia. Ciągłe zapytywał: „jak to jest możliwe?” i chciał być głosem wołającym na puszczy, kiedy wszyscy inni milczeli. Na szczęście nie był politykiem.

W pałacu Ogińskich, pod Celą Konrada, w dawnym klasztorze Bazylianów

Gościliśmy w siedzibie Związku Pisarzy Litewskich, który mieści się od 1944 roku w Pałacu Ogińskich. W bibliotece Związku zachowało się wiele książek z literatury rosyjskiej. Pierwszy wykład po zajęciu Wilna przez Armię Czerwoną wygłosił tutaj do zebranych słuchaczy czerwony hrabia Aleksis Nikołajewicz Tołstoj (1883-1945). Jego opowiadania, opublikowane w latach 1910, były ostro krytykowane za nadmierny naturalizm i bezwstydną erotyzm. W latach 1917–1923 przebywał w Niemczech, ale potem zmienił poglądy polityczne i wrócił do ZSRR. Jego powieści science fiction *Aelita* (1923) o podróży na Marsa i *Promień śmierci Garina* (1927), to klasyka literatury dziecięcej w Rosji. Opublikował opowieść o tematyce historycznej *Piotr Wielki* (1929-1945). No i powieść socrealistyczną w trzech tomach *Droga przez mękę*. Jako zagorzały zwolennik Stalina był członkiem Państwowej Komisji badającej zbrodnię katyńską. Komisja ta odpowiedzialnością za masakrę Polaków obarczyła Niemców. Był również zwolennikiem połączenia antyfaszystowskiego frontu narodów słowiańskich z ideami rosyjskiego słowianofilstwa i internacjonalizmu proletariackiego. O powojennych dziejach Pałacu Ogińskich i bohemie litewskiej, często o tragicznych życiorysach, zbierającej się po 1989 roku w restauracji domu literatów, opowiadał po rosyjsku, (alternatywą był niemiecki) wileński poszukiwacz Dariusz Pocewicius. Ostatnim punktem dnia było spotkanie pod Celą Konrada, w dawnym klasztorze Bazylianów, gdzie więzieni byli filomaci, w tym Adam Mickiewicz, i gdzie po-

wstały *Dziady*. Na schodach prowadzących pod celę recytowano wiersze. Następnie pożegnaliśmy się z uczestnikami 29. Międzynarodowego Festiwalu Poezji „Maj na Wilią”.

Ważna jest tradycja mickiewiczowska

Dzisiaj Litwa jest krajem, który posiada większy PKB (na głowę mieszkańca) niż Polska, ludzie nie mają problemów z zaspokojeniem podstawowych potrzeb życiowych. Wysyłanie „Paczek dla Kresowiaka” na Litwę z Polski, nie jest przemyślanym dowodem wsparcia takiego, jakiego oczekuje społeczność polska na Litwie. Wielka emigracja w ostatnich latach Litwinów do Anglii, Niemiec, krajów skandynawskich, ponad milion osób, spowodowała, że wiele domów na wsiach stoi pustych. Litwa liczy obecnie 2,8 mln mieszkańców. Polacy na Litwie są dobrze zorganizowani. Istnieją szkoły polskie, których nauczyciele ciągle muszą patrzeć z uwagą na to, co dzieje się w naszej części Europy. Wraz z rekonstrukcją narodów po 1989 – 1990 roku organizowane są festyny polskiej kultury ludowej: „Kwiaty Polskie” w rejonie wileńskim, „Pieśń znad Solczy” w Solecznikach, „Dźwięcz, polska pieśń” w rejonie trockim, „Trzymajmy się razem” – na ziemi smółweńskiej, w Turmoncie oraz Dni Kultury Polskiej na Laudzie i Żmudzi, w ramach których odbył się jubileuszowy XX Festyn Kultury Polskiej „Znad Issy”. Związek Polaków na Litwie, który posiada swoją reprezentację w Sejmie Litewskim, spotyka się od kilku lat na Święcie Wojska Polskiego w Żuławie, miejscu urodzenia Józefa Piłsudskiego, jednego z głównych, obok Wincentego Witosa, Ignacego Daszyńskiego, Romana Dmowskiego, architektów II Rzeczypospolitej.

Świadomość żyjących na Litwie Polaków, jest interesująca. Ważna jest tradycja mickiewiczowska. Aby wejść do parlamentu Litewskiego Polacy muszą współtworzyć blok wyborczy z drugą mniejszością, żyjącą w Republice – Rosjanami. Ci ostatni nie mają wyraźnego lidera. Polacy w sensie politycznym zaś są traktowani przez jednych jako ruscy, przez innych jako Litwini. Są jeszcze Polacy na Białorusi, którzy obecnie są w najtrudniejszym położeniu. Tłamszeni przez Łukaszenkę, a powstały mur graniczny pomiędzy Litwą, Polską a Białorusią, tworzy nowe fakty. Powracając do Gdańska otrzymałem od przyjaciela mego Ojca, Wiktora Krzysztoporskiego, który studiował na Uniwersytecie Gdańskim w latach 70. XX wieku, reprint książki Konstantego hrabiego Tyszkiewicza *Wilia i jej brzegi*, ze wstępem Józefa Ignacego Kraszewskiego (Drezno 1871-Vilnius 2008) .

Maciej Żakiewicz
Wilno – Gdańsk 20 września 2022 rok

Westchnienie nad Soliną

Marcin Jacobson

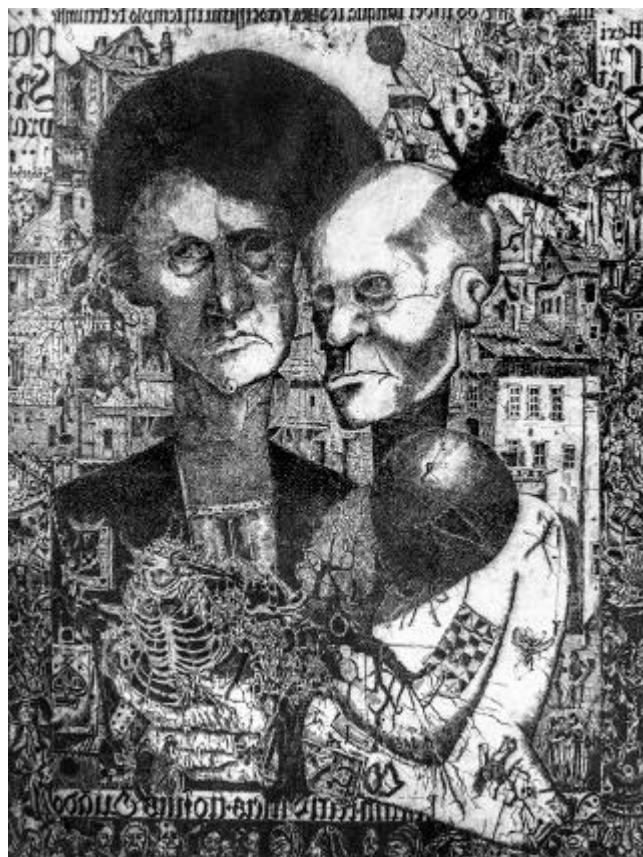
fe
lie
ton

Felieton ten napisałem dwa lata temu, gdy pandemia chwyciła nas za gardło. Od tej chwili minęło sporo czasu, ale temat nie wywietrzył. Jego zaczynem było moje telewizyjne spotkanie z Wojtkiem Gąssowskim, w którym opowiadaliśmy o koncercie Rolling Stonesów z 1967 roku. Jak wiadomo, Wojtek kojarzy się nam (czytaj: rockowym dinozaurom) przeważnie ze wzgórzami nad Soliną, no i z prywatkami, które już się ulotniły. Sama Solina nie ma z felietonem nic wspólnego, ale prywatki już tak, bo są wspomnieniem chmurnych, acz stabilnych czasów. Nie było wtedy lekko, ale przynajmniej znaleźliśmy zasady gry ówczesnej władzy. Gdy ona upadła, pojawił się chaos, z którego wychnął względny, choć inny już, spokój. Po drodze nie obyło się, oczywiście, bez błędów i wypaczeń, ale mieliśmy przynajmniej wiarę, że da się to naprawić. Byliśmy na mylny błąd (tak brzmiało kultowe niegdyś powiedzenie), bo wszystko znowu runęło, co trafnie uchwycił Andrzej Stasiuk: „Już mogło się здаwać, że powoli wtapiamy się w tkankę europejską za cenę zgody na to, że jesteśmy (...) krajem średniego kalibru. (...) A tu raptem jakby polska podświadomość się odezwała (...) – to walka o swoje, (...) o swoje kompleksy, których nie potrafimy się pozbyć, bo są nasze.”

W miejsce konsekwentnie budowanej stabilizacji, pojawił się amok reformowania wszystkich i wszystkiego, a nowe rządy wykazały się tu niebywałą kreatywnością. Pomogła (!) w tym pandemia, wojna i inflacja, które wykorzystano jako alibi do maskowania wszystkich błędów, szalbierstw i „nowogrodzkich gier”. Gdy inne kraje zareagowały na pandemię skutecznymi programami kryzysowymi, u nas powstał „nowy ład”, dziurawe tarcze osłonowe i ustawy, które wyglądają jak nocne zjawy, co to pojawiają się i znikają. Wzorcowym przykładem był tu „pandemiczny” Fundusz Wsparcia Kultury, w którym już na wstępie zastrzeżono, że dotyczy twórców prowadzących działalność gospodarczą, choć większość z nich pracuje na umowach o dzieło. Równocześnie osoby samozatrudniające się potraktowano jak inne podmioty gospodarcze, co ze względu na specyfikę tej branży, klóci się ze zdrowym rozsądkiem i pozwala generować pozorne straty. Tak, pozorne, bo fakt, że topowi artyści przed pandemią zgarniali po parę baniek oznacza, że oni w czasie jej trwania po prostu ich nie zarobili. Skutek takiej urzędniczej pomysłowości był taki, że niezależni, opierający się dyktatowi rynku twórcy, którym nigdy nie było lekko, zostali bez grosza, zaś jarmarczni milionerzy mogli kupić sobie nowe Maserati. Wymownym jest fakt, że

z siedemnastu polskich filharmonii tylko siedem otrzymało wsparcie porównywalne z tym, jakie dostali gwiazdorzy. Gdy urzędnikom wytknięto tę anomalie, zarzucili oni protestującym zawiść lub/i lenistwo, twierdząc, że nie złożyli stosownych wniosków. Pomijając to, że artyści są z definicji ludźmi z nieco innego wymiaru, więc mogą mieć trudności z papierologią, przypominam, iż zabłąkane władze Danii, Niemiec i Albionu, zamiast ministerialnych algorytmów, przyznały twórcom jednolitą pomoc pieniężną, akcentując jedynie jaki jest średni dochód ich ziomali. U nas funkcjonuje, na podobnej zasadzie, program „500 +”, z którego korzystają także na przykład właściciele basenów i jachtów. Na koniec przypomnę dwie, jakże aktualne, maksymy: „Kto z braku przezorności, w niefrasobliwości czy w głupocie wodzi złodzieja na pokuszenie, ten staje się współwinnym przestępstwa” oraz „Warto być przyzwoitym”. Pierwszą przekazał mi mój dziadek, Józef Wiktor, autorem drugiej jest Władysław Bartoszewski

Marcin Jacobson



Maciej Świerczewski

Ludzie

Zapiski człowieka dociekliwego Nieznana książka Zbigniewa Szczepanka

Roman Warszawski

Zmarły w 2020 roku znany akwarelista Zbigniew Szczepanek, oprócz podręczników nawigacji, pozostawił dwie książki. Pierwszą z nich jest Podszczypywanie chwały – wydany w 1998 roku przez Tower Press tom niepozabawionych humoru wspomnień z okresu, kiedy malarz służył w Marynarce Wojennej. Druga książka jest znacznie słabiej rozpropagowana, a właściwie nieznana.

Opublikowana została w roku 2009, nosi tytuł Próbuąc zrozumieć, czyli zapiski pędzlem malowane liczy blisko 300 stron, ma twardą okładkę, zawiera 33 rozdziały oraz – jako ilustracje – grafiki autora. To tom wydany bez ISBN, przeznaczony dla bardzo wąskiego, wybranego kręgu odbiorców – jak pisze autor: dla bliskich i przyjaciół – opublikowany został na koszt autora. Nakład, jak sądzę, najprawdopodobniej nie przekracza stu egzemplarzy. Tym bardziej warto uświadomić sobie, że pozycja taka istnieje i – w związku z tym, że tak trudno dostępna – choć pobieżnie przybliżyć jej treść i przesłanie.

Głęboko współczuję...

We wstępie czytamy:

Gdy piszę te słowa jestem już człowiekiem u schyłku życia. W ciągu lat, które przeżyłem, zadawałem sobie pytania o sens życia. Na wiele z nich nie potrafię odpowiedzieć [...], jednak próby znalezienia odpowiedzi oraz proces poszukiwania drogi ku sensownemu życiu miały dla mnie wielkie znaczenie.

Szczepanek postanowił się nimi podzielić. Pisz:

[...] Jestem [...] człowiekiem chcącym przejść przez życie w sposób świadomy celu i czyniącym starania, aby mijające dni, miesiące i lata były jak najmniej zmarnowane. Ta niewielka książka powstała jako próba podzielenia się przemyśleniami z innymi ludźmi, albowiem poszukujących drogi jest z pewnością wielu. [...] Zawarte tu myśli i osądy, z natury amatorskie, osobiste, a często także drażliwe, spowodują u wielu zgoła negatywne odczucia. Pisząc nie kierowałem się jednak chęcią zyskania sympatii



Czytelnika, lecz próbą podjęcia zagadnień, które w ludzkiej egzystencji uważam za kluczowe. Głęboko współczuję tym, którzy zajęci bez reszty codziennością troszczą się jedynie o dobre i wygodne życie, a wszelkie inne kwestie uważają za niepotrzebne dziwactwa.

Credo

W pierwszym rozdziale *Wielki plan* Szczepanek sam siebie przedstawia jako deistę, co stanowi ważną informację przed ciągiem dalszym lektury. Czytamy:

Jestem przekonany, że wszystko, co istnieje, powstało jako plan Najwyższej Świadomości, której Istota jest nie-

wyobrażalna i którą nazywamy Bogiem. [...] Czyż nie jest szokujący fakt, że pod stopami mamy zaledwie dwanaście tysięcy kilometrów solidnej ziemi, nad głowami zaś... nieskończoność! Jeśli nasza Ziemia jest tak niewyobrażalnie mała w skali wszechświata, to czym w swej fizycznej postaci jest człowiek, przylepiony do tej planety dzięki sile grawitacji?

[...] Absurdalną jawi się teoria, że świat, z całą swą ogromną różnorodnością i niebywałym poziomem komplikacji, powstał SAM Z SIEBIE na drodze jakichś przypadkowych procesów [...]. Idąc tą drogą należałoby przyjąć, że luźna mieszanina gazów w kosmosie potrafiła w niezrozumiały sposób utworzyć struktury o kolosalnym stopniu zaawansowania [...]. W przypadku Ziemi oznaczałoby to, że wszystkie formy życia, od wirusa po człowieka, rozwinęły się drogą ewolucji same z siebie, że ten niesłychanie inteligentny program powstał bez interwencji z zewnątrz, drogą czystego przypadku.

Podróż bez końca

Uszczegółowienie tych rozważań następuje w następnym rozdziale – *Religie*. Czym jest religia? – zapytuje Szczepanek.

[...] Jest tym, co najbardziej różni człowieka od zwierzęcia. Dzięki niej człowiek jest świadom Boga i wie, że życie to coś więcej niż tylko troska o dostatek [...], a naszą ziemską egzystencję można porównać do chwilowego pobytu na kolejowym peronie w oczekiwaniu na podróż będącą ostatecznym celem, podróż, która nie ma końca.

Motyw podróży i wędrówki zdaje się być dla autora szczególnie ważny, i rozumiany jako udział w kołowym wcieleniu, może tłumaczyć jego wieloletnie zainteresowanie buddyzmem i hinduizmem. Czytamy:

Religię [...] można [...] zdefiniować jako swego rodzaju przewodnik na drodze z tu do tam. Ukazując prawdziwy sens życia i starając do starań o duchowy rozwój jednostki, daje [...] nadzieję na szczęśliwą i udaną transformację do świata ducha. [...] Interesujący się religiami i filozofiami Dalekiego Wschodu wiedzą, że w Indiach istnieje pewnego rodzaju duchowego będąca raczej filozofia niż religia, zwana Drogą Mistrzów. Kroczą nią bardzo nieliczne jednostki spędzające większą część życia pod opieką i kierunkiem niezwykle zaawansowanych Mistrzów, w warunkach wieloletniej medytacji uzyskujące stany wyższej świadomości, o której zwykli ludzie nie mają pojęcia. Zaraz potem następuje bardzo istotne rozróżnienie: W chrześcijaństwie czynnik intelektualny jest niedostatecznie podkreślany. Wystarczy być dobrym. W buddyzmie trzeba dodatkowo wiedzieć.

Czy na gruncie europejskim prowadzący takie rozważania Szczepanek jest skłonny uznać się za odpowiednik takiego Mistrza?

Ego

Zbliżając się do rozważań na temat artyzmu i sztuki, autor zajmuje się też zagadnieniem ego.

Ego to centralny problem ludzkości – pisze – albowiem źle rozumiane jest największym nieszczęściem i przekleństwem [...]. Uważa jednak, że pojęcia tego, wbrew powszechnemu mniemaniu, nie należy demonizować.

Bo

[...] ego to świadomość swego istnienia. Ego jest więc jakby strukturą, która potwierdza, że ktoś istnieje i jest tego świadom. [...] Nie jest [...] pojęciem negatywnym, rozumiane bowiem dobrze, sprzyja duchowemu rozwojowi jednostki. [...] Człowiek[...] rozumiejący właściwie rolę i istotę ego, jest świadom swojej wartości, wie, że stanowi indywidualny, niepowtarzalny byt, z czym wiąże się jednak wiele obowiązków.

To, co najważniejsze

Dla autora były to – co oczywiste – obowiązki związane ze sztuką.

Sztuka – stwierdza – zaczyna się tam, gdzie kończą się możliwości słowa. (Śic! A co na to poeci, pisarze?!) Jest więc pewną ekstrapolacją pojęć, idei, wobec których słowo i opis są bezradne. Sztuka posługuje się intelektem i emocją, choć oba te czynniki odgrywają [w niej] jedynie ograniczoną rolę [...].

Sztukę Szczepanek umieszcza w kontekście wszechobecnym we wszechświecie wibracji. Pisz:

Człowiek jest istotą żyjącą w środowisku nasyconym różnymi energiami, w którym wszystko dzieje się poprzez odpowiednie drgania i wibracje, stąd tak silna reakcja na te zjawiska. Również kosmos to świat różnych nieustających wibracji działających na człowieka od chwili jego narodzin aż do śmierci. Wszystko jest więc wibracją.

Dalej przechodzi do swojej dziedziny.

W dziedzinie sztuk plastycznych także mamy do czynienia z drganiami określonej częstotliwości, ale zamiast akustycznych [jak w muzyce –RW] mamy tu zjawiska wzrokowe o określonej długości fal, których oddziaływanie na zmysły jest nieporównywalnie słabsze od fal dźwiękowych.

Z tym ostatnim stwierdzeniem na pewno wielu mogłoby polemizować. Także z tym (o czym przed chwilą polemizo-



wałem), że słów z ich odpowiednim rytmem i brzmieniem Szczepanek nie uznaje za źródło odpowiednich drgań, jakby zapominając, że istnieją takie frazy i zdania, jak chociażby rusza po szynach maszyna..., w którym jest i rytm, i pęd, i syczenie maszyny oraz wiele, wiele innych pozawerbalnych doznań. Czytajmy jednak dalej:

Tworząc obraz, rzeźbę lub komponując utwór muzyczny, autor ze sfery intelektu przenosi się w transcendentálny świat, w którym dominuje intuicja, zaczyna więc działać na częstotliwościach, na których pracuje Bóg. [...] Staje się [...] tylko narzędziem, kanałem [...]. Na najwyższym poziomie sztuki Piękno nie jest już konieczne [...], a nadmierna staranność i precyzja nie tylko nie podnoszą jakości, lecz są nieraz przyczyną artystycznej porażki. [...] Przyciśnięty do muru znawca sztuki, w zeknięciu z prawdziwym dziełem, potrafi jedynie powiedzieć, że jest w nim to coś. I tylko tyle.

Szczepanek uważa, że nie ma obiektywnej definicji artyzmu, bo sztuka w samej swojej istocie jest subiektywna i antyobiektywna. To jednak

[...] Skutkuje poważnymi konsekwencjami [...], kryteria jakości opierają się bowiem wyłącznie na intuicji znawców, ta zaś jest niesprawdzalna i niemierzalna. Otwiera się tu pole do omyłek.

To jest też odpowiedź dlaczego wszystkich dziedzin słownych nie był skłonny zaliczyć do sztuki. Nastąpiła właśnie przed chwilą wspomnianą omyłka.

Zbigniew Szczepanek, *Próbując zrozumieć, czyli zapiski pędzlem malowane. Książka dla bliskich i przyjaciół*, ss.279, Gdynia 2009. Książka wydana dzięki pomocy wydawnictwa Bernardinum.

Ta, której nie ma

Fakt, że Zbigniew Szczepanek niedawno odszedł, skłania do tego, by z większą uwagą zagłębić się w te rozdziały książki, które dotyczą spraw ostatecznych. Tu, mimo że malarz do końca życia pozostał katolikiem, znów napotykamy ślady buddyzmu.

Śmierć ciała – czytamy – zamyka fazę rozwojową jednostki w jej ciele fizycznym i przenosi ją w pozaziemską rzeczywistość, w której rozwój nadal jest kontynuowany i odbywa się na różnych poziomach, zależnie od uzyskanego duchowego zaawansowania.

Człowiek boi się śmierci gdyż tak nam nakazuje instynkt samozachowawczy. Jednak tak naprawdę Śmierć nie istnieje [...], jest tylko przejściem z jednej krótkiej egzystencji w drugą, tym razem wieczną. Zmarły, w ziemskim rozumieniu tego słowa, ma nadal świadomość swego istnienia, widzi, czuje, myśli i jest tą samą osobą, którą był przedtem. [...] Istnieją niezliczone źródła dowodzące kontaktów między żyjącymi a zmarłymi, ja także zdobyłem w tym względzie pewne doświadczenie. [...] Interesujące poglądy na temat życia i śmierci można znaleźć w *Tybetańskiej księdze życia i umierania* Sogjala Rinpocze, będącej przybliżeniem tych problemów dla człowieka Zachodu przez buddyjskiego duchownego z Tybetu. Książka ta, obok Biblii, powinna być w każdym [...] domu.

Roman Warszawski

Jedyny bat to obojętność czytelników

Jarosław Kurek na Gdańskich Targach Książki

Papierowa książka przetrwa. Wydawcom nie wypada w to wątpić! Książki na papierze towarzyszą nam od wieków, do niedawna nie było jednak dla nich alternatywy. Co będzie z nimi dalej po pojawieniu się e-booków czy audiobooków? Małgorzata Ogonowska i Artur Rogoś prowadzą obecne na rynku od pięciu lat Wydawnictwo Części Proste oraz imprint tej oficyny – Słowa na Wybiegu. Spotkaliśmy się z nimi na Gdańskich Targach Książki. W rozmowie z nami mówią o przyszłości książek, przede wszystkim tych papierowych, ale także o niepokojach wydawców, realiach rynku i o paru innych istotnych sprawach.

Jeszcze nie tak dawno wydawca, myśląc o swojej firmie, widział oczami duszy stosy świeżo wydrukowanych, przeznaczonych do wysyłki książek papierowych. Dzisiaj, w dobie rosnącego popytu na książkę elektroniczną i czytana, nie jest to już chyba takie oczywiste?

Małgorzata Ogonowska: Punktem wyjścia pozostają dla nas książki wydawane na papierze. Stanowią trzon naszej działalności, i to się z pewnością prędko nie zmieni. Jednak czytelnicy coraz częściej poszukują również książek w wersji elektronicznej, które są może jeszcze niezbyt dużym, niemniej stałym segmentem rynku. Jako wydawcy nie możemy tego ignorować.

Nie będę jednak zaprzeczać, że większy sentyment mamy – jak spora część czytelników – do książek papierowych. Tak było kiedyś, gdy byliśmy tylko ich odbiorcami, i tak pozostało.

Leży nam więc w Częściach Prostych na sercu, by nasze książki pojawiały się na świecie jako przedmioty wartościowe literacko, a poza tym – piękne, estetycznie oprawione, z wysmakowanymi okładkami, w miarę możliwości na wysokiej jakości papierze. Czynienie zadość tym wymogom nie byłoby możliwe bez Ani Witkowskiej, artystki z Gdańska, która zaprojektowała większość naszych tytułów oraz identyfikację graficzną Słów na Wybiegu.

Czy dzisiaj, na podstawie własnych obserwacji, można pokusić się o prognozę – „co dalej z tą książką”?

Z książką papierową? Nie brakuje przecież w tej kwestii pesymistycznych przepowiedni. Przetrwa, czy też, jeśli chodzi o powszechność, zamieni się miejscami z e-bookiem? A może w ogóle schowa w jakiejś niszy?

MO Nie, myślę, że w dłuższej perspektywie książce papierowej nic nie grozi. Ludzie, którzy czytają, najczęściej

lubią fizyczną formę książek, bo są to po prostu – pomijając zawarte w nich treści, które, jak wiadomo, mogą być bardzo różne – przedmioty im przyjazne. W dodatku, jak wspomniałam, w dobrych wydawnictwach są coraz bardziej dopieszczane edytorsko.

Nie zmienia to faktu, że w krótszej perspektywie rynek książek papierowych mogą czekać różnego rodzaju, mniej lub bardziej kłopotliwe zawirowania, przede wszystkim ekonomiczne. Groźna jest inflacja, zmuszająca do cięcia wydatków i wydawców, i odbiorców. W ubiegłym roku dały nam się też we znaki braki papieru. Istnieje tu pewien związek z pandemią – znacząco wzrósł rynek sprzedaży wysyłkowej i zapotrzebowanie na opakowania i kartony, stąd wytwórcy przestawili się po części na produkcję papieru do kartonów i paczek, ograniczyli zaś produkcję papieru książkowego. W szczytowym okresie tych braków ceny papieru szły w górę co kilka dni. Muszę powiedzieć, że patrzyliśmy na to wszystko z lekkim przerażeniem.

AR Każda inflacja ma jednak to do siebie, że mija. Podwyżki cen, które dają się nam ostatnio we znaki, także przystopują. Pociuszające, że jeśli chodzi o rynek edytorski, jakiegoś istotnego łąpnięcia nie widać. Rocznie wydaje się w Polsce ponad 30 tys. tytułów; wprawdzie w ostatnich latach jest widoczny kilkuprocentowy spadek, ale nie sądzę, by był to powód do wielkiego niepokoju. Jeśli chodzi o sprzedaż, regresu jeszcze nie obserwujemy.

Może fajnie byłoby, gdyby ten spadek oznaczał wyeliminowanie książek i wydawnictw kiepskiej jakości.

A może nie, może i one mają do odegrania swoją rolę?

AR To prawda, jest widoczna pewna, nazwijmy to, nadprodukcja wydawnictw. Ale taka jest specyfika rynku – pamiętajmy, że dziś książkę może wydać każdy, kto zdobędzie



Z katalogu wydawnictwa Części Proste | repr. z zasobów wydawnictwa

na to pieniądze. Nawet ktoś niekoniecznie mający pojęcie o regułach edytorskich.

MO Ktoś mógłby się niepokoić, że zbyt duża liczba tytułów na rynku będzie oznaczać wypieranie książki wartościowej przez tę mniej istotną, źle wydaną czy zredagowaną. Znamy przecież prawo mówiące o tym, że gorszy pieniądz wypiera lepszy. Moim zdaniem w wypadku książek nie ma ono jednak zastosowania. Gorsza książka nigdy nie wyprze lepiej – przy czym przez to określenie rozumiem: lepiej napisanej, staranniej przetłumaczonej i zredagowanej, na wyższym poziomie edytorskim.

Nie wyprze, bo...?

MO Bo nie pozwolą na to czytelnicy. Czytając, rozwijamy się i zaczynamy oczekiwać więcej, nie mniej. Podnosimy poprzeczkę sobie i innym.

AR Więcej, co do książki papierowej widać pewien postęp, pojawiają się nowe wątki: fantastycznie rozwinął się reportaż, od kilku lat wzięciem cieszą się na przykład książki non fiction pisane z myślą o dzieciach. Zresztą w ogóle poziom literatury dziecięcej znacząco wzrósł, zarówno jeśli chodzi o aspekt czysto literacki, jak i edytorski. A wiadomo, że w przypadku młodych czytelników piękno, staranna edycja, graficzne pomysły w książkach mają większe znaczenie niż w przypadku dorosłych.

I dobrze, że wydawcy to dostrzegają. W końcu od dzisiejszych dzieci zależy, jak potoczą się dalsze losy książek papierowych. Jeśli przedmiot zwany książką będzie im się kojarzył z estetyką i pięknem, zwiększy się szansa, że kiedyś do niego wrócą. Albo nigdy go nie zostawią.

MO Nie oznacza to naturalnie, że e-booki czy audiobooki znikną. Chciałabym podkreślić: nie jesteśmy przeciwko nim,

przeciwnie, sami z nich korzystamy. Pod wieloma względami to bardzo praktyczne i przydatne rozwiązanie. Łatwiej wziąć czytnik do tramwaju i nie męczyć się w podróży z tysiącstronicowym tomiszcem. Fajnie jest posłuchać w samochodzie dobrej literatury, czytanej przez lubianego aktora. E-booki sprawdzają się też doskonale w przypadku naukowych opracowań, książek specjalistycznych – wszędzie tam, gdzie fizyczna forma publikacji nie jest aż tak istotna.

AR Poza tym rynek wykształcił pewną grupę zwolenników książki obecnej na czytniku, którzy twierdzą, że książka w wersji tradycyjnej nie budzi w nich żadnych sentymentów i nie jest im wręcz do niczego potrzebna. Do tego dochodzi stały proces cyfryzacji tego, co wydaje się obecnie, i tego, co wydano kiedyś, co oznacza poszerzanie oferty. Dlatego wydawca powinien monitorować to, co dzieje się na rynku e-książek. Stale trzymamy więc rękę na pulsie. Na tej podstawie mogę powiedzieć, że tytułów w formie elektronicznej pojawia się coraz więcej, natomiast procentowo wciąż stanowią one jakieś 3 proc. rynku. I to znacząco się nie zmienia.

Pozwolą państwo, że zmienię temat i spytam o ludzi, którzy nie kojarzą się nam na ogół z zapamiętaniem w lekturze. Mam na myśli polityków. Czy sfery rządowe, także władze lokalne, mają do odegrania jakąś rolę w popularyzacji książki i w pomaganiu wydawcom?

MO Są rządowe programy pomocowe, o nich jednak niewiele możemy powiedzieć. Inaczej ma się sprawa ze współpracą z władzami samorządowymi. W Gdańsku od 2020 roku istnieje dobrze funkcjonujący Gdański Fundusz Wydawniczy, z którego skorzystaliśmy. Ogólnie rzecz biorąc, pomoc ze strony instytucji publicznych jest niezwykle ważna w przypadku książek, które bez grantów czy innych form wsparcia raczej by się nie ukazały – mam tu na myśli choćby teksty popularnonaukowe, naukowe, nieprzeznaczone dla szerokiego grona czytelników lub z założenia skierowane do wąskiego kręgu odbiorców i już na wstępie deficytowe. Trzeba pamiętać, że wydawnictwa są bardzo różnorodne, zarówno wydające dużo, szybko i byle jak, jak i niszowe, poruszające trudne tematy, proponujące wysmakowane edytorsko rzeczy.

AR Brakuje jednej istotnej rzeczy, w której wdrożeniu nikt nie zastąpi rządu, a która mogłaby pomóc wydawcom, a poprzez nich i książkom. Ta rzecz to ustawa o książce, o której mówi się od dawna, ale szanse na jej uchwalenie są nikłe, bo zbyt wiele jest na książkowym rynku sprzecznych interesów.

Jednym z istotnych elementów ustawy jest wprowadzenie jednolitej ceny książki, która byłaby niezmienna przez rok. Projekt takich regulacji jest przygotowany, niemniej nie znajduje konsensusu w branży. W tej chwili specyfika rodzimego rynku książkowego wygląda tak, że nowości wydawnicze są przeceniane w momencie premiery. Powoduje to paranoiczną sytuację, w której wydawca musi śrubować cenę, wiedząc, że będzie musiał od niej odjąć rabaty.

Porozmawiajmy o wydawaniu książek prosto z mostu.

Da się z tego wyżyć?

AR W przypadku wydawnictw małych, takich jak nasze, trzeba powiedzieć, że to z pewnością nie może być jedyne źródło utrzymania dla prowadzących je osób. Często nawet nie główne. Książki wolno rotują, potrzeba sporo czasu, by znalazły czytelnika. Kolejny aspekt to stosunkowo niskie nakłady. Te czynniki plus długie terminy płatności powodują, że prowadząc niewielkie projekty wydawnicze, takie jak nasz, stabilność firmy trzeba budować na kilku filarach.

Co jest najważniejszą cechą wydawcy?

AR Wytrwałość i cierpliwość. Umiejętność starannego budowania marki, uważnego kreowania planów wydawniczych. **Mówią państwo o nietatwym życiu wydawców, a zarazem – o dużej liczbie wydawnictw, wypuszczających na rynek dziesiątki tysięcy tytułów, bywa, że takich, na które nikt nie spojrzy. Ktoś podejrzliwy mógłby jednak pomyśleć, że na wydawaniu książek można nieźle zarobić.**

AR Na pewno można, są na to przykłady, które przecież każdy, kto zalicza się do czytelniczego grona, dobrze zna, ale to są wyjątki, jak w każdym biznesie. Powtórzę jednak: dzisiaj autorem i wydawcą może zostać każdy. Nikt nie zabroni Iksińskiemu wydać wspomnień z kompletnie pozbawionego ciekawych wydarzeń życia, źle napisanych, kiepsko czy nawet w ogóle niezredagowanych. Nie regulują tego żadne przepisy. Zły architekt, lekarz czy nauczyciel może zostać pociągnięty do odpowiedzialności. Zły autor czy nieprofesjonalny edytor – nie.

Jedyny bat to obojętność czytelników.

AR Właśnie tak to wygląda.

Zastanawiam się, do jakiego stopnia wpływ na przyszłość książek może zależeć od ich popularyzowania przez

osoby znane: artystów, celebrytów wszelkiej maści, może polityków. Wyobrażają sobie państwo któregoś z członków rządu, dbającego, by pojawiać się w TV z półkami pełnymi książek za plecami?

MO Szczerze mówiąc, z pewnym trudem. Zapewne są kraje, w których jest inaczej. Chociaż obserwując w trakcie kolejnych lockdownów życie zamknięte w ramach smartfonów i laptopów, zauważyliśmy, że pandemia przyniosła ze sobą wzrost pewnych pozytywnych zachowań. Myślę tu właśnie o tym, o czym pan mówił – o pokazywaniu się online z biblioteczką domową za plecami. Zdarzało się to zbyt często, by można było mówić o przypadku.

Ważną rolę w propagowaniu czytelnictwa – kiedyś tylko „papierowego”, dzisiaj to się zmienia – odgrywają biblioteki. Chociaż podobno ich liczba w Polsce spada.

MO, AR Jest ich jednak wciąż dość dużo, co nie znaczy, że nie powinno być więcej. Fantastycznych, przyciągających rzesze czytelników. Funkcjonujących zarówno w większych, jak i średnich lub niewielkich miastach, ale także wiejskich czy objazdowych. Bez bibliotek nam, wydawcom, byłoby z pewnością znacznie trudniej. Gospodarują przyznanymi im budżetami, oferują nowości zarówno w formie papierowej, jak i elektronicznej. Dziś nawet osoby mające problemy z dotarciem do biblioteki mogą liczyć, że książka przyjdzie do nich, choć oczywiście nie wszędzie jest tak pięknie. W każdym razie nie wypada nam wątpić w to, czy książka przetrwa.

Rozmawiał Jarosław Kurek

W uzupełnienie artykułu Heleny Leman *Kraj zdobyty*, nr 1/2022 „Słowa” .

Ks. Jan Zieja od lutego 1947 roku był kapłanem katolickim w Wytownie, parafia obejmowała również kościoły w Machowinie, Objeździe i Rowach. Kościołowi w Wytownie nadał za patrona świętego Franciszka z Asyżu. Pracując na co dzień spotykał się z problemami ludności pomorskiej. W swych wspomnieniach ks. Zieja mówił o sprawach rybaków z Rowów. Był tam kamienny kościół, w którym odprawiał nabożeństwa.

[...]Objąłem kościółek, odprawiam nabożeństwo. Przychodzą do mnie ludzie miejscowi: „My Słowińce, nie Niemce, a wyrzucają nas stąd”. Co im powiedziałem.; „Piszcie do ministerstwa, bo tam może nie wiedzą o waszej polskości, wielu z was ma nazwiska niemieckie”. Napisali do ministra Ziem Odzyskanych (Władysława Gomułki), tak jak im radziłem. Na drugą niedzielę, gdy przyjechałem, moich Słowińców już nie było. W nocy wieś otoczyła milicja i tych wszystkich, co się podawali za Słowińców, wywieziono jako Niemców”.

Ryszard Bosakowski, *Ewangelia Jana Ziei* zob. Karta nr. 56, Warszawa 2008, s.113 oraz Zdzisław Machura, *Cztery Słupskie lata*, Słupsk 2006

Z wyrazami szacunku Maciej Żakiewicz,
28 października 2022

Listy do redakcji

Wiesława Romanowska (1946-2022)

Wojciech Fułek

Wiesię – tak mówili o niej i do niej wszyscy, więc niech tak pozostanie – poznałem jeszcze w latach 80. XX wieku, kiedy oboje pracowaliśmy w branży artystycznej, teatralno-muzyczno-koncertowo-festiwalowej.



Nic więc dziwnego, że w roku 1990 bardzo się ucieszyłem, kiedy – już w Polsce „nowych możliwości”, jako jedna z pierwszych – zakładała prywatną galerię w Sopocie. „Triada”, choć niewielka, stała się szybko i na długo artystyczną wizytówką Sopotu. Również dlatego, że mieściła się w sercu Sopotu, przy najbardziej znanym w Polsce deptaku (w lokalu po dawnym sklepie mięsny). Akcje edukacyjne i happeningi, które wtedy wymyślała i realizowała, na przykład „Malowanie Monciaka” kredą przez dzieci, wpisywały się doskonale w ówczesną wizję Sopotu jako miasta sztuki i artystów. Osobiście zawdzięczam tej sopockiej galerii kilka pięknych obrazów trójmiejskich artystów, które do dziś zdobią mój dom – Andrzeja Umiastowskiego, Waldemara Marszałka czy Henryka Cześnika. Liczne wernisaże w „Triadzie” stawały się nie tylko artystycznymi, ale i towarzyskimi wydarzeniami, bo spotkać tam można było niemal „wszystkich”. To Wiesi zawdzięczam długoletnią przyjaźń z sopockim twórcą, ojcem Bursztynowego Słowika, Bogdanem Mirowskim i znajomości z wieloma innymi artystami.

Zorganizowaliśmy wspólnie kilkadziesiąt aukcji charytatywnych, które zawsze z ogromnym zaangażowaniem

i starannością Wiesia przygotowywała. Poświęcała im całe serce, zatem ona je organizowała, ja przychodziłem na „gotowe” i prowadziłem. Ale zawsze mogłem być spokojny, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik, a przygotowane grafiki i obrazy zaliczają się do tych najlepszych i najbardziej atrakcyjnych.

Jako sopocianin, nie mogłem odżałować, kiedy „Triada” wyprowadziła się do Gdańska, ale rozumiałem tę decyzję, choć trudno mi było się z nią pogodzić. Do dziś takiej właśnie małej, kameralnej – ale o doskonałej marce, opinii i atmosferze – galerii w Sopocie brakuje. I nikt nie potrafił przez lata zapętnić tej luki, jaka powstała po wyprowadzce „Triady”. Ale cieszę się, że „Triada”, ukochane dziecko Wiesi, wciąż żyje i ma się dobrze, teraz już pod ręką syna. Niech trwa i działa – jak najdłużej.

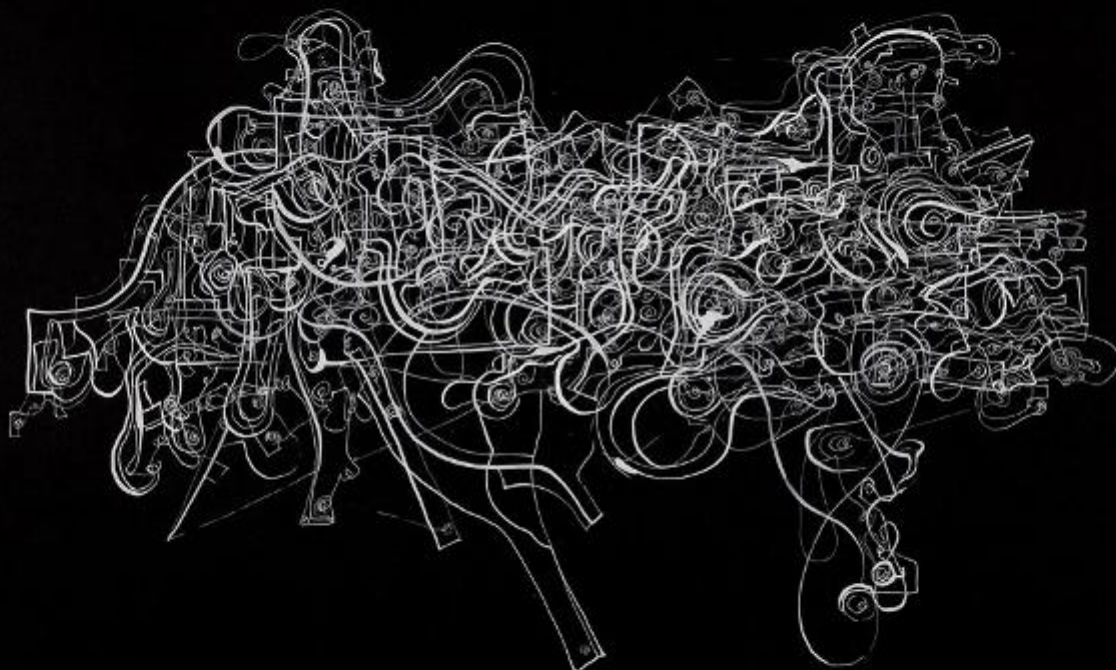
Dziękujemy ci Wiesiu za wszystko, co zrobiłaś przez te cztery ostatnie dekady dla artystów, sztuki i jej odbiorców. Bez ciebie ten sopocki, gdański, pomorski pejzaż byłby uboższy i mniej kolorowy.

Ktoś mądry powiedział: „wspomnienia nigdy się nie starzeją”. Trwaj Wiesiu, w pamięci każdego z nas!

Wojciech Fułek

Stow

Pomorski Magazyn Artystyczny



W poprzednich numerach

Bożena Ptak

Poetka czyta poetkę

Monika Milewska

Piosenka o coca-coli

Jerzy Zajadło

Gustawa Klimta wizja prawa

W następnych numerach

Ewa Pobłocka

Mój Bach

Günter Grass

O Chodowieckim

Olga Kubińska

Ręce rzeźbiarza zawsze myślą

2/2022 (2)
Kwartalnik

ISSN 2956-3739



9 772956 373200